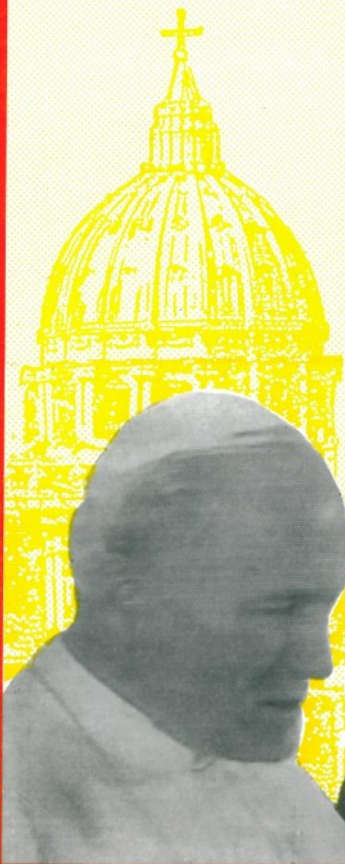
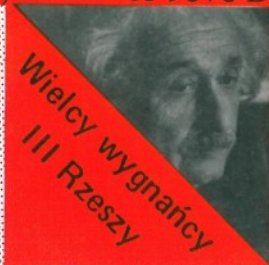


Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

Wielcy wygnańcy
III Rzeszy



Roman Zelazny Powrót do Canossy	1
Wybory w RFN Wielki dzień małych partii ...	15
Julius H. Schoeps Przeciwko kolcom... ..	17
Anna Ostrowska Moja hipoteka	23
Jerzy Starski Dzieci Jarre i campusów	29
Krzysztof Wądrodzki Religia czy narkotyki? Część VI	31
Andrzej Zwaniecki W służbie partii, w służbie Kościoła... ..	35
„Teatr robi się...”	38
Rozmowa z Henrykiem Baranowskim Berliński „Król Dawid”	40
Rozmowa z Jerzym Radziwiłowiczem	
Wiktor Grotowicz Inwazja Afgańczyków... ..	41
Z Paryża... ..	43
Z Kopenhagi... ..	44
Zbigniew Skrzypczak Z notatnika rzecznika	45
KRONIKA EMIGRACYJNA ..	47
Listy do redakcji	48

Oddano do druku dn. 02. 02. 87 r.

Stycyniowe wybory do Bundestagu przyniosły „gorzkie zwycięstwo” (Der Spiegel) rządowej koalicji partii CDU/CSU i FDP nad socjaldemokratami i „Zielonymi”. Chadeacy utracili prawie 5 % wyborców – knock down dla kanclerza Kohla już w pierwszej rundzie nowego okresu urzędowania.

200 % więcej głosów niż w 1983 r. uzyskali neonaziści z NPD (Kronika, str. 10). Ich sukces zachodniemieckie mass media zbyły milczeniem, które musi nazistów bardzo boleć, bo odbiera im spodziewaną promocję. „Wielki dzień małych partii” – str. 15.

Kwidzyn, 14 sierpnia 1982 r. Straż więzienna urządziła politycznym „łaźnię”. Bestialstwa pijanych „stróżów porządku” wobec internowanych działaczy „Solidarności” wielokrotnie opisywano w prasie niezależnej, również w „Pogładzie” (Nr. 17/43 z 25. 09. 1983). „Moja hipoteka” (str. 23) to nie kolejne sprawozdanie ofiary komunistycznych siepaczy, lecz relacja dowódcy oddziału straży pożarnej, która nolens volens również brała udział w „kwidzyńskim kotle”.

Chiny na przełomie lat 1986/87. Nowa, tym razem spod znaku demokracji, „rewolucja kulturalna”? Str. 29.

Kto rozpetał wojnę w Afganistanie? Ależ oczywiście USA na czele z osławioną CIA! A co robią tam w takim razie Sowieci? Nafty szukają! Po prostu szukają nafty... dla Afgańczyków! O cudach sowieckiej propagandy pisze Wiktor Grotowicz, str. 41.

Kto pobił rekord wydajności w PRL w 1986 r.? – Mennica Państwowa!!! A co zrobił Kiszczak z opozycją?

Znów wtrącimy do więzienia
tych co wyszli za sumienia.
W imię polskiej racji stanu
po powrocie z Watykanu

Satyra Zbigniewa Skrzypczaka, str. 45.

Powrót do Canossy*



Gen. Jaruzelski: „więcej uprzejmości”

Rządowi specjaliści od propagandy przedstawili wizytę gen. Jaruzelskiego we Włoszech jako sukces. I mają rację, bo w pewnym sensie za taki sukces może być ona uważana. Po raz pierwszy od 13 grudnia 1981 r. generał pojawił się w poważnym, liczącym się państwie zachodnim na oficjalne zaproszenie rządu tego państwa. Już sam fakt, że Włochy są krajem członkowskim NATO, odgrywają

ważną rolę we Wspólnocie Europejskiej, a ich znaczenie daleko wybiega poza to, jakie zwykle się przywiązywało do stosunków bilateralnych między poszczególnymi krajami, wystarcza, aby wizytę zaliczyć do ważnych politycznie wydarzeń. Nie zmienia tego faktu również to, że Jaruzelski odwiedził Włochy na zaproszenie rządu włoskiego, a nie prezydenta tego kraju, co wiązało się jedynie — powiedzmy — z połową tych honorów, jakie mógł on zebrać. Było to i tak więcej, aniżeli podczas jego krótkiego postoju we Francji i spotkania z prezydentem Mitterrandem, który wyświadczył generałowi tyle afrontów, że śmiało można by było nimi obdzielić kilka, o ile nie więcej, wizyt dyplomatycznych różnego szczebla.

To, że Włosi oszczędzili Jaruzelskiemu w pełni galowego przyjęcia zapewne generałowi nie przeszkadzało. Pięć lat międzynarodowej izolacji, w jaką wtrącili go „zasługi” oddane własnemu społeczeństwu, przyzwyczały szefa PZPR do tego, iż występować musi jako petent, a nie liczący się politycznie czy gospodarzo partner. Oprawa więc, jako się rzekło, mniej się tu liczyła, niż oczekiwane zyski dwójakiego rodzaju.

Po pierwsze Jaruzelskiemu bardzo zależało na stworzeniu pewnego wyłomu w dotychczasowej polityce państw zachodnich unikających, jak dotąd, zapraszania najwyższego przedstawiciela skompromitowanej władzy, zaciągania siłą rzeczy wobec niego jakichkolwiek zobowiązań i tym samym udzielania mu moralnego, politycznego czy gospodarczego poparcia. W przebiegu wszystkich dotychczasowych wizyt, jakie politycy zachodni, wśród których znajdowali się szefowie rządów czy państw — od Jana Pawła II poznaczając, na premierze Japonii Nakasone kończąc — złożyli w PRL,



NIEBEZPIECZNE DWIE ÓSEMKI

Z paromiesięcznym opóźnieniem, ale za to intensywnie, prasa sowiecka piętnuje „pewną nieodpowiedzialną modę” panującą latem wśród młodzieży. Tego roku nagminnie stało się noszenie koszulek ozdobionych cyfrą 88. Jest to symboliczne nawiązanie do zbliżającego się tysiąclecia chrztu Rosji (988 r.). M. In. *Sielskaja żizn* ubolewa nad tym, że nie na wiele zdały się akcje tworzenia Kół Młodych Ateistów, otwieranie dyskotek, w których oprócz atrakcyjnej, zachodniej muzyki serwowano antyreligijną agilkę itp. Uaktywnili się zwykli księża prawosławni — nawiązują nieformalne kontakty z młodzieżą, w interesujący sposób zachęcając do aktywnego udziału w życiu religijnym.

Na konferencji prasowej w Wiedniu prof. F. Ermakora powiedział, że jego ostatni raport o sytuacji uchodźców afgańskich, pisany na zamówienie Sekretarza Generalnego ONZ, został przed opublikowaniem ocenzurowany przez sekretariat tej organizacji. Z 27-stronicowego opracowania usunięto 13 stron, zawierających najbardziej istotne fakty. (*Przegląd Wiadomości Agencji*, nr 39, 30 XI 86)

W 28 numerze *Z Dnia na Dzień* z br. pisaliśmy o strajku, który miał miejsce 9. 09. 86 na oddziale specjalnym W-7 Zakładów Radiowych „Diora” w Dzierżonowie. Otóż w wyniku tego strajku dyrekcja została zmuszona do podniesienia płac średnio o 400 zł. Po raz kolejny okazało się, jak bardzo skuteczną formą dochodzenia swych praw przez robotników jest strajk.

W „Elwro” już drugi miesiąc pieniądze na wypłatę pożyczka się od innego zakładu.

Dyrektor „Polaru” pojechał do Kanady pożyczając blachę niezbędną do produkcji bębnow do pralek automatycznych (tzw. chromonikeline, nota bene produkowaną w Polsce). Była to kolejna podróży dyrektora, mimo że „Polar” ma w Kanadzie swego stałego przedstawiciela.

KOMUNIKAT TR NSZZ SOLIDARNOŚĆ” REG. JEL. GÓRA

Na posiedzeniu, które odbyło się w dn. 3. 11. 86 Rada ustaliła, że za najważniejszą sprawę, wymagającą natychmiastowej decyzji, uważa problem katastrofalnej degradacji środowiska w naszym regionie. Uważamy za konieczne wprowadzenie zakazu spalania węgla brunatnego w Kotlinie Jeleniogórskiej z uwagi na jej specyficzne warunki klimatyczne. Skutkiem spalania tego opału jest degradacja środowiska naturalnego — kwaśne deszcze, smog, obumieranie drzew, zachwianie równowagi klimatycznej i wodnej w przyrodzie.

Oświadczamy, że jesteśmy gotowi współdziałać z władzami wojewódzkimi w zakresie przygotowania odpowiednich ekspertyz.

Jelenia Góra, 3. 11. 86

Andrzej Piesiak, Roman Niegosz, Jerzy Nalichowski, Zdzisław Bykowski
(Z Dnia na Dzień,
nr 33, 24. 11-30. 11. 86)

Znany pisarz czechosłowacki Bohumil Hrabal (72 lata) poddany został wielokrotnym przesłuchaniom przez policję w związku z opublikowaniem przez jeden z czechskich samizdatów jego ostatniej, autobiograficznej książki o 1968 roku. Pod presją Hrabal wyparł się tej książki i publicznie wezwał do jej zniszczenia.

KRZYWA ROŚNIE

Spózięciem alkoholu w Polsce rządzą w ostatnim stuleciu pewne prawidłowości. Po okresie powstania 1863 r. pito dwukrotnie więcej niż w latach 40-tych XIX w. Później spózięcie spadło i np. w 1912 r. wynosiło 3,4 l czystego spirytusu na głowę. Po odzyskaniu niepodległości zmniejszyło się

nigdy nie udało się czegoś takiego osiągnąć. Przyjazd do Włoch i rozmowy z premierem Craxim oraz innymi członkami rządu miały więc stanowić dla Jaruzelskiego niejako legitymację jego politycznej wiarygodności, legitymację, która na serio utworzyłaby przed nim drzwi Białego Domu, Pałacu Elizejskiego, Urzędu Kanclerskiego czy Downing Street 10. Jak dotąd bowiem było tak, iż jakoś obrazu, jaki Jaruzelski starał się przekazać zachodnim politykom i opinii publicznej, mimo widocznych wysiłków służących reżymowi mistrzów propagandowej sztuki, wciąż nie była na tyle atrakcyjna, by przekonać doń nieufną zagranicę.



Prymas Glemp: Filozofia kompromisu

najistotniejsze” również Jan Paweł II wspominał o „historycznym znaczeniu wizyty, która przynieść powinna dla wszystkich tak długo wyczekiwane owoce”.

Dla generała było to na tyle dalekie wyjście naprzeciw, iż podczas konferencji prasowej zorganizowanej na zakończenie wizyty odważył się nawet na przyznanie Kościołowi w Polsce statusu „stałej rzeczywistości historycznej”, podkreślając jednocześnie zależność, jaka zachodzi między pokojową misją papieża-Polaka, a inicjatywami, które podejmowane są w tej dziedzinie przez kraje socjalistyczne.

70-minutowa rozmowa z Janem Pawłem II, spotkanie w Pałacu Kwirynalskim z prezydentem Włoch Francesco Cossigą, rozmowy z premierem Bettino Craxim, spotkanie z władzami miejskimi Rzymu na Kapitolu oraz grzecznościowe przyjęcie „na cześć” polskiego gościa, jakie wyprawili gospodarze są fragmentami wizyty, z której upleść można byłoby piękną bajkę o jej sukcesie.

Bajka byłaby tym piękniejsza, gdyby nie zamknięte w ramach fabularnej oprawy fakty. Te zaś rysują nieublaganie całą lichotę

Podobny aspekt miała audycja, jakiej w Watykanie udzielił generałowi papież. Jaruzelski za dbał i tym razem o stworzenie wrażenia, iż jest to spotkanie całkiem normalne, lecz z drugiej strony na tyle ważne, by z jego kontekstu wynikały sprawy o znaczeniu dla Polski i Europy niemalże fundamentalnym.

Przyszło mu to o tyle łatwiej, że obok jego wieloznacznego stwierdzenia o dwóch Polakach, którzy „muszą się zawsze rozumieć, gdy idzie o problemy dla Polski i Europy

„wyprawy na Rzym”, którą generał chciał przedstawić jako zwycięski marsz, a która była niczym innym, jak peregrynacją bankruta w poszukiwaniu środków przetrwania.

Ktokolwiek bowiem myślałby, że generał przybył do Rzymu, aby pozwolić się tam podziwiać jako opatrnościowy mąż stanu, jest w błędzie. To, jak już powiedziałem, jedno, o drugiej zaś stronie medalu przesądzają rzeczy, o których nie mówił on głośno. Chodziło rzecz prosta o pomoc, jakiej udzielić mogą Włosi zrujnowanej gospodarce PRL, co stanowiło drugi punkt zamierzonych przez Jaruzelskiego korzyści. W związku z tym generał zarezerwował sobie terminy spotkań z przemysłowcami włoskimi (w tym z prezesem koncernu samochodowego Fiat Agniollimi) oraz przedstawicielami włoskich związków zawodowych, z którymi rozmawiał on nie dlatego, iż krytykują politykę władz PRL wobec związków zawodowych w Polsce, ale dlatego, że ich głos w tej kwestii bardzo się liczy.

Nie słychać, aby oba te spotkania przyniosły Jaruzelskiemu i jego „reformatorom” jakieś odświeżające zyski. Włosi wprawdzie są zainteresowani ułożeniem gospodarczych stosunków z Polską, a raczej ich powrotem do normalnego stanu, chcieliby inwestować w polski przemysł samochodowy, angażować własny kapitał w uzdrowienie innych gałęzi zdewastowanej gospodarki, zarazem jednak liczą chłodno i widać, że w obecnych warunkach ryzyko możliwych strat wciąż biorą bardziej na serio niż inkasowanie potencjalnego zysku. Spowodowało to, iż podczas spotkania z grupą włoskich przemysłowców więcej mówiono o chęciach, planach czy zamierzeniach niż o realnych posunięciach. W każdym razie zapytany o to na konferencji prasowej z okazji zakończenia wizyty generał stwierdził, że: „nie czas mówić o konkretach”. A właśnie konkretów najbardziej radii byli się dowiedzieć zgromadzeni na konferencji dziennikarze.



Jasna Góra, u stóp klasztoru: „ceną mogła być »Solidarność«”.

Dużo natomiast w rozmowach polskich gości z ich włoskimi gospodarzami było mowy o pokoju w Europie i świecie, o rozbrojeniu oraz o tym, co Włochy i Polska mogą w tej sprawie zrobić. Było to o tyle dziwne, że ogólnie znane są sposoby ustanawiania pokoju przez Jaruzelskiego w jego własnym kraju. Na przedstawioną przez

bardzo wydatnie, bo do 1,8 l. Za to w latach okupacji gwałtownie wzrosło, osiągając 5 l na 1 mieszkańca. Hitlerowski gubernator Frank za prowadzącą do degeneracji narodu normę uznał 6 l spirytusu na statystycznego Polaka. Zaraz po wojnie nastąpił początkowo spadek spożycia do 3-3,5 l, ale wkrótce zaczęło ono systematycznie wzrastać, dochodząc w 1980 do 8,4 l. Krótka przerwa w tej stale wznoszącej się linii to okres jawnej działalności „Solidarności”. Po 13 grudnia 1981 wzrost jest już nieprzerwany. Obecnie osiągnięliśmy poziom 10 l czystego spirytusu na osobę.

Nasuwają się pytania, czy władzy zależy na zwalczaniu pijaństwa? Dramatycznych objawów na pewno tak, ale aby usunąć przyczyny frustracji społeczeństwa, będącej podłożem pijaństwa, władze musiałyby usunąć same siebie. Totalizatorski karom nakładanym na drobnych handlarzy w pokazowych procesach, towarzyszą proporcjonalnie również drakońskie kary orzekane przez kolegię wobec niezależnych działaczy pikietujących sklepy monopolowe, pod którymi jakoś nie widzi się działaczy, legalnego wszak, Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego. Boć może wcale im na tym nie zależy, gdyż finanse Komitetu to głównie tzw. „korkowe”, które płaci właśnie Polmos, czyli im więcej Polmos sprzedaje wódki, tym więcej pieniędzy ma SKP. Legalni działacze antyalkoholowi z łatwością mogliby pokryć grzywny nakładane na ich niezależnych sojuszników, ale nie przychodzi im to do głowy — wolą siedzieć na swoich ciepłych posadkach i liczyć kapsle. (Przegląd Wiadomości Agencyjnych, nr 40, 7 XII 86)

PODPALACZE?

Od czerwca br. obowiązują podwyższone o 100 % składki na Fundusz Regionalny Rolników i PZU. Ok. 600 chłopów z gminy Fajslawice w woj. lubelskim (6 wsi i 3 osady) odmówiło płacenia tych składek. Wysłali w tej sprawie list do Sejmu, ale nie otrzymali odpowiedzi. W wyniku nacisków władz — groźby zastosowania trybu egzekucyjnego, szykany wobec najaktywniejszych — wielu rolników wpłaciło składki, ale większość stanowczo odmawia płacenia. Ostatnio „urozmaicono” metody nacisku. W gminie Fajslawice zaczęły płonąć stogi, sterty zboża i stodoły. Pożary wybuchają zawsze z soboty na niedzielę o godz. 5 rano, sprawy — „nieznani”. Akcję przeciwko płaceniom podwyższonych składek podjęli również rolnicy wsi Osinka w woj. tarnobrzeskim.

PO 5 LATACH

„Solidarność” wyrażała marzenia Polaków o własnej niemarnotrawionej pracy, o własnej niecenzurowanej mowie, o własnym niepodległym państwie. Temu wypowiedziano wojnę tamtej grudniowej nocy 1981 roku. Broniliśmy się. Może za słabo. Może nie z taką odwagą i determinacją, jakiej przykład dali górnicy „Wujka” i „Manifestu Lipcowego”, „Piasta” i „Ziemiowita”. Lecz przecież nie poddał się — budujemy podziemie, jawnie stoimy za zdelegalizowanym Związkiem, za wolnością.

Dziś już dobrze wiemy, komu zadwójczamy powszechną biedę, publiczne kłamstwo, bezprawie, kto truje naszą ziemię i nasze serca, kto prowadzi do ruiny naszą gospodarkę, kto dozbiera szantażystów z Moskwy. Przez te długie 5 lat nie odebrali nam jednak marzeń i nadziei. I nie odbiorą. Zrealizujemy je.

Przewodniczący „Solidarności Walczącej”: Kornel Morawiecki
(*Solidarność Walcząca*, nr 24, 7-21. 12. 86)

Komisja d/s wywiadu Senatu USA przedstawiła dowody, że jeden z dwóch specjalnych doradców Sekretarza Generalnego ONZ Pereza de Cuellera — Władimir Kolesnikow nie jest dyplomatą, lecz szpiegiem — ekspertem KGB od spraw chińskich. Raport komisji senackiej stwierdza również, że praktyka obsadzania przez KGB stanowiska jednego z dwóch zastępców szefa ONZ trwa od czasów U Thanta.

Wydatki wojskowe w PRL wzrosły z 4,8 mld dol. w 1980 r. do 6,8 mld w 1986 r. czyli o ok. 40 %. Sięgają one obecnie 180 dol. na mieszkańca. Dla porównania — na naukę wydaje się 25-28 dol. na jednego mieszkańca, czyli o siedmiokrotnie mniej.

NIE MOŻNA DYRYGOWAĆ MORZEM

— Co przegraliśmy, a co wygraliśmy przez ostatnie 5 lat?

— Przegraliśmy wszystkie konfrontacje. Po 13 grudnia, po dużej klęsce Związku, nie mamy siły, by wygrać z władzą, gdy stawia ona coś na ostrzu noża. Ale ciągłym naciskiem coś przecież osiągnęliśmy. Nawet symboliczne akcje były demonstracją woli oporu, który władza musiała brać pod uwagę. Przykładem może być rok 1984 i 1985. 15-minutowy strajk skończył się po-

związkowców włoskich prośbą wyjaśnienia sytuacji związanej z przywróceniem w Polsce wolnych związków zawodowych, niedyskryminowania tych pracowników, którzy nie chcą należeć do związków oficjalnych, przestrzegania przez PRL konwencji MOP-u, a także sytuacji dotyczącej więźniów politycznych generalnie odpowiedział zaproszeniem ich do Polski, gdzie mogłyby się przekonać o w pełni „znormalizowanej” sytuacji panującej w powyższych kwestiach.

Patrząc z tej perspektywy również „historyczna” wizyta w Watykanie jawi się jako coś zgoła niehistorycznego. Spotkanie głowy Kościoła katolickiego z przywódcą PRL nie miało cech wyjątkowości: w 1977 r. uprzedził Jaruzelskiego Gierek, którego przyjął na audiencji papież Paweł VI. Z obecnym papieżem spotkał się również dwa razy przewodniczący Rady Państwa Jabłoński. Zaproszenia do odwiedzenia Polski Janowi Pawłowi II generalnie też nie wręczył, bo zostało ono wysłane już wcześniej. Pojawienie się więc Jaruzelskiego, z córką u boku, w murach



Paweł VI: Audiencja dla Gierka

stolicy papieskiej musiało mieć swoją cenę. Przymusza się — Watykan na ten temat milczy, a generalnie też nie ma się tym co chwalić — że również ta wizyta miała swój gospodarczy podtekst. Chodzi tu — oprócz wielu innych korzyści dla władz PRL — o wpływ, jaki może mieć Stolica Apostolska na zniesienie ostatnich sankcji amerykańskich wobec PRL. W tej grze z perspektywy Watykanu stawką mogłaby być „Solidarność”, ale...

Przed spotkaniem z Janem Pawłem II mówiło się, iż rząd PRL będzie zabiegał o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem. Do sfinalizowania sprawy nie doszło, o czym decyduje chyba stanowisko Kościoła pragnącego „odpowiednich regulacji na najniższym szczeblu” nim można będzie konkretnie decydować o czymś więcej. W każdym razie trudno nie zauważyć, że reżym warszawski i tu stosuje tylekroć sprawdzoną metodę kija i marchewki. Spotkaniu i rozmowom Jaruzelskiego z Janem Pawłem II towarzyszyła w kraju ostra kampania propagandowa w sferach masowego przekazu, w której szeroko poruszano sprawę majątku Kościoła, materialnego stanu jego posiadania i finansowych dochodów. Stawia to stosunki między państwem a Kościołem ponownie w zapalnym punkcie. Aby złagodzić złe wrażenie, władze w Warszawie znów mówią o rozważeniu sprawy Fundacji Rolniczej, możliwości powołania do życia dalszych katolickich organizacji świeckich, mających być załącznikiem przyszłej partii chadeckiej, oraz zwiększenia pluralizmu związkowego. Są to jednak wszystko jedynie mgliste przypuszczenia. Wiadomo więc tylko na pewno, że papież przyje-

dzie w tym roku do Polski, i że odwiedzi m. in. Częstochowę, Kraków, Gdańsk i Lublin. Prawdopodobnie dojdzie też do zniesienia ostatecznej sankcji amerykańskich wobec PRL, a czy odbędzie się to z błogosławieństwem Kościoła, czy też nie, nie ma już takiego znaczenia.

Jaruzelski starał się podkreślić „polski” wątek swojej wizyty złożeniem wieńca na cmentarzu żołnierzy poległych pod Monte Cassino. Historia i tu odniosła swój własny triumf — w ponad 40 lat po wojnie złożył na cmentarzu wieńiec szef komunistycznego państwa, które przez dziesięciolecia odmawiało uznania krwi i ofiar, jakie ponieśli żołnierze armii polskiej, walczącej u boku aliantów na Zachodzie.

Zarówno na Monte Cassino, jak i w stolicy Włoch witały Jaruzelskiego demonstracje zorganizowane przez Polaków i Włochów. Brali w nich udział przedstawiciele nie tylko polonii włoskiej, lecz także członkowie włoskich związków zawodowych i partii politycznych tego kraju. Wznoszone przez demonstrantów takie hasła jak „wolność i pokój”, „wolność wasza — wolność nasza”, „pluralizm społeczny”, „myślenie nie jest przestępstwem” generał określił podczas konferencji prasowej mianem „folkloru”, co dobrze świadczy o naukach wyniesionych przezeń z lektury dzieł ojca systemu, Marksa.

Demonstracje były jednym z czynników, które sprawiły, że generalna droga do Canossy na trasie Warszawa-Rzym była szczególnie uciążliwa, czemu wyraz dał sam podróżny mówiąc, iż „spodziewał się tu (w Rzymie — przyp. R. Z.) więcej uprzejmości”.

Miejscowość we Włoszech, do której w 1077 roku udał się, wykłety przez papieża Grzegorza VII, cesarz niemiecki Henryk IV, aby odbyć tam pokutę i prosić papieża o przebaczenie. „Pójść do Canossy” — upokorzyć się.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e. V. „Pogląd”	lub Postcheckkonto 586 90-102
Sparkasse der Stadt Berlin West Konto Nr 122 001 238 2	BLZ 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postcheckamt 1000 Berlin (West)

Na Towarzystwo Solidarność

- | | |
|---|----------|
| 1. Reiner Hasse, Frankfurt/M. | DM 50,- |
| 2. Rafał i Marek Zarzycki, Bonn | DM 140,- |
| 3. Iwona Gajek, Schönau am Königssee | DM 30,- |
| 4. Ryszard Semeczko, Dortmund | DM 120,- |
| 5. Korab i Bartek Piątkowski, Bad Herrenalb | DM 165,- |
| 6. Anatol Kobylński, München | DM 30,- |

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

rażką, ale jego zapowiedź spowodowała, że w dużych, mocnych zakładach uzyskano znaczące podwyżki płac.

— Czy dalej mamy wpływ na władzę?

— Tak, tyle że nie potrafimy z niego korzystać. Zbyt jesteśmy przywiązani do starego scenariusza: nie mamy wpływu na decyzje władz aż do momentu buntu, kiedy na jakiś czas zdobywamy wpływ na to, co się dzieje w kraju. A potem bunt się kończy i znowu jesteśmy bezsilni. Jest to nieprawda. Nawet w zakładach pracy możemy wpływać na to, co się wokół dzieje. Najgorszym efektem stanu wojennego jest poczucie bezsilności, zmęczenie i brak nadziei.

Fragment wywiadu z Ewą Kulik i Konradem Bielińskim
(Przegląd Wiadomości Agencyjnych,
nr 42, 21 XII 1986)

Kraj w prasie zachodniej



WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI O KOHLU

Prof. Władysław Bartoszewski, laureat pokojowej nagrody Gildii Księżarzy Niemieckich za rok 1986 — jak przypomniał *FAZ* (15. 01.) — przebywał obecnie w RFN prowadząc wykłady na uniwersytecie w Fuldie. Prof. Bartoszewski, sam ongiś więzień Oświęcimia, skomentował kontrowersyjną wypowiedź kanclerza Kohla porównującą NRD-owskie więzienia z nazistowskimi obozami koncentracyjnymi. Zdaniem Bartoszewskiego Kohl nie miał na myśli okrucieństwa Oświęcimia, lecz pragnął w ten sposób dobitniej podkreślić nieludzką charakter systemu przemocy. Można się oczywiście zastanawiać — powiedział Władysław Bartoszewski — czy czołowy polityk powinien używać te-

go typu sformułowań, tym niemniej jego wypowiedź oddawała faktyczną sytuację panującą w NRD.

TELEGRAM DO SACHAROWA

W telegramie gratulacyjnym skierowanym do zwolnionego ostatnio z zesłania w mieście Gorkij obrońcy praw człowieka Andrieja Sacharowa, polscy opozycjoniści i intelektualiści wyrazili przekonanie, iż przyczyni się on do wzrostu zrozumienia między Polakami a Rosjanami. Telegram — píše *Die Welt* (14. 01.) — podpisał 38 osób. Berliński *TAZ* z tego samego dnia uzupełnia tę informację podając nazwiska sygnatariuszy m. in.: Wałęsy, Bujaka, Syrenka, Edelmana, Mazowieckiego, Kuronia, Wajdy, Holoubka.

JARUZELSKI WE WŁOSZECH

14. 01., w trzecim dniu pobytu we Włoszech, gen. Jaruzelski udał się do Monte Cassino, gdzie polscy emigranci przywitani go demonstracją. Jaruzelski złożył na słynnym cmentarzu wieńiec i wygłosił przemówienie, stwierdzając m. in., że jest to „piękny i fascynujący symbol wspólnej walki o pokój”. Po powrocie do Rzymu generał — píše *FaZ* (15. 01.) — spotkał się z przedstawicielami włoskich związków zawodowych, którzy skrytykowali politykę władz PRL w stosunku do niezależnego ruchu związkowego w Polsce i upomnieli się nie tylko o prawa Polaków do pluralizmu, lecz również o „Solidarność”. W tym samym dniu Jaruzelski przeprowadził wstępne rozmowy z przedstawicielami koncernu „Fiata” na temat produkcji w Polsce nowego małolitrażowego modelu tego samochodu.

Najważniejszym jednak i najszerzej komentowanym aspektem wizyty gen. Jaruzelskiego we Włoszech była audyencja, jakiej szefowi PZPR udzielił papież Jan Paweł II.

W rozmowie z papieżem Jaruzelski obiecał ponowne podjęcie rokowań na temat Fundacji Rolnej, jak również zakładanie dalszych katolickich fundacji kredytowych, deklarował również rozważenie możliwości działania niezależnych związków zawodowych (z wyjątkiem „Solidarności”). Podczas spotkania omówiono również ewentualność przyznania Kościołowi statusu prawnego, o co od lat zabiega Episkopat Polski.

Ze swej strony Watykan gotów jest rozważyć nawiązanie stosunków dyplomatycznych z PRL, na czym Warszawie od lat bardzo zależy. Są to jednak tylko spekulacje — dało się słyszeć

z watykańskich kręgów — i pewnie jest jedynie tylko to, iż Jan Paweł II odebędzie w tym roku trzecią pielgrzymkę do Polski.

KOMISJA D/S OCHRONY ŚRODOWISKA

12. 01. w Warszawie powołana została do życia Komisja Ochrony Środowiska przy Radzie Państwa. W jej skład wchodzi politycy i naukowcy. Podstawowym zadaniem, jakie rozwiązać musi nowo powstałe gremium jest zagadnienie budowy zbiorników wodnych, urządzeń oczyszczania ścieków oraz składowisk śmieci, zwłaszcza na wsł. Jak się bowiem okazuje, fundusze przeznaczone na ochronę środowiska w poszczególnych województwach pozostają często niewykorzystane. *Stad-deutsche Zeitung* (14. 01.) wyraźnie wiąże powołanie tej komisji z ostatnimi protestami ruchu „Wolność i Pokój” we Wrocławiu, kiedy to domagano się zamknięcia huty „Siechnice”.

EWANGELICY POLSCY

W PRL żyje obecnie 100 tys. chrześcijan wyznania luterńskiego należących do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Jak píše korespondent *Tagesspiegel* (18. 01.) gminy ewangelickie budują aktualnie 5 kościołów, 4 probostwa i wielkie centrum wydawnicze w Bielsku-Białej, gdzie drukowany jest dwutygodnik *Zwiastun*. Mimo, iż luteranie mieszkają na terenie całej Polski, do głównych ich skupisk należą Bielsko-Biała i Katowice, a ponadto Warszawa i Wrocław. Rezydującym w Warszawie biskupowi Nazyńskiemu podlegają również liczące po około 500 członków dwie gminy niemieckie (w Słupsku i we Wrocławiu), które mają prawo odprawiania mszy w języku niemieckim. Na 109 duchownych ewangelickich spoczywa obowiązek opieki duszpasterskiej nad 190 kościołami i 175 kaplicami luteranickimi.

KTO ODMAWIA SŁUŻBY WOJSKOWEJ W PRL?

Dienniki warszawskie, powołując się na informacje przedstawione na konferencji prasowej przez rzecznika MON Wojtasika, doniosły iż w ostatnich latach od 100 do 300 osób rocznie odmawiało odbywania służby wojskowej. W Polsce — jak informuje *Tagesspiegel* (18. 01.) — obowiązuje nadal 2-letnia służba wojskowa (3-letnia w marynarce wojennej). Około połowy osób odmawiających początkowo odbycia służby wojskowej decydowało się jednak na

podporządkowanie się przepisom, pozostali musieli „ponieść konsekwencje”, co oznacza karę więzienia od 6 miesięcy do 5 lat. Wojtasik twierdzi, że od roku 1980 istnieje w Polsce możliwość korzystania „w określonych wypadkach z niezdolności do odbywania służby wojskowej” z zamiany jej na tzw. służbę zastępczą w oddziałach obrony cywilnej, straży przemysłowej względnie straży pożarnej.

FUNDUSZ „SOLIDARNOŚCI”

Przywódcy NSZZ „Solidarność” podjęli decyzję o powołaniu do życia nowej fundacji. Jej celem jest pokrywanie kosztów, jakie ponoszą członkowie związku za swoją działalność. Chodzi tu o kary grzywny, które na mocy obowiązujących od października 1986 przepisów są główną metodą zwalczania działalności opozycyjnej. Jak poinformowała TKK w ostatnim czasie około 100 osobom wymierzono wysokie kary pieniężne za udział w demonstracjach lub rozdawanie ulotek. W 5 wypadkach — píše *Tagesspiegel* (18. 01.) — miały również miejsce konfiskaty samochodów.

„WOLE WIEZIENIE NIŻ GRZYWNĘ”...

— powiedział Leszek Budrewicz, jeden z działaczy ruchu „Wolność i Pokój” we Wrocławiu w wywiadzie dla berlińskiego *TAZ* (20. 01.). Budrewicz skomentował w ten sposób nową politykę władz w stosunku do opozycji demokratycznej w Polsce, a mianowicie zastąpienie dotychczas stosowanych kar pozbawienia wolności wysokimi grzywnami i konfiskatą mienia. Pisaliśmy już o tym w poprzednim numerze *Poglądu*, informując jednocześnie o stworzeniu fundacji pomocy ofiarom przyspieszonego postępowania sądowego przy NSZZ „Solidarność”, której zadaniem ma być finansowe wspieranie ukaranych grzywną działaczy. „Grzywna w wysokości trzymiesięcznej pensji wcale nie należy do rzadkości” — powiedział Budrewicz — „a z danych, którymi dysponuje „Wolność i Pokój” wynika, iż od października 1986 r., kiedy to weszły w życie nowe przepisy, karami grzywny na łączną sumę 1,5 mln zł obciążono ponad 500 osób”.

„Czy nowe przepisy prawne nie wydają ci się bardziej humanitarne, niż pakowanie wszystkich do więzienia?” — zapytał dziennikarz Budrewicza. „Gdy obowiązywały dawne przepisy wiadomo było przynajmniej, czego można się spodziewać (...). Za udział w nielegalnej akcji groziła kara więzienia

od kilku dni do 3 miesięcy, podczas procesów zachowywano przynajmniej pozory praworządności oraz prawo do apelacji (...). Obecnie — jeśli ktoś ma pecha — może kilka razy pod rząd „zarobić” horrendalną karę pieniężną”.

NOWE MATERIAŁY DOKUMENTALNE O MAJDANKU

Jak poinformowała *Neue Zürcher Zeitung* (22. 01.) nieopublikowane materiały filmowe o hitlerowskim obozie zagłady w Majdanku zaprezentował publiczności niemieckiej producent filmowy Bengt von zur Muehlen. Wyszukał on filmy dokumentalne, głównie nakręcone przez oddziały armii sowieckiej wyzwalające Majdank, przechowywane w archiwach Polski, ZSSR i NRD.

Przypomnijmy, że małżeństwo von zur Muehlen specjalizuje się w produkcji filmów dokumentalnych o okresie II wojny światowej i to oni właśnie wydobyli z tajnych archiwów sowieckich nieznanne materiały o Oświęcimiu, o czym przed rokiem informowaliśmy naszych czytelników.

PRL OPOWIADA SIĘ ZA GENSCHEREM

Süddeutsche Zeitung (22. 01.) donosi z Warszawy, że przedwyborcza walka partii zachodniemieckich była przedmiotem licznych spekulacji i komentarzy ze strony rządu PRL. Komentatorzy na ogół zgodnie podzieliли opinię, że z wyborów wyjdzie zwycięsko ugrupowanie CDU/CSU, a problemem kluczowym było pytanie, kto obejmie teki ministra spraw zagranicznych RFN — Strauss czy Genscher? PRL zdecydowanie odpowiedziała się po stronie tego ostatniego. Dodajmy, że w kwietniu br. przewiduje się wizytę ministra spraw zagranicznych RFN (czytaj: Genschera) w Warszawie.

PAPIEŻ PRZYJĄŁ GLEMPA

Sześć dni po wizycie Jaruzelskiego u papieża, Jan Paweł II przyjął na prywatnej audyencji prymasa Polski Glempa. Przedmiotem rozmów — pisał *Tagesspiegel* (20. 01.) — jak się przypuszcza, były szczegóły planowanej trzeciej podróży papieża do Polski. Glemp przebywał w Rzymie 5 dni. Po powrocie z wizyty w Watykanie kardynał poinformował, że przedstawiciele rosyjskiej cerkwi prawosławnej zaprosili go do odwiedzenia Moskwy. Prymas Polski miałby wziąć udział w konferencji, która ma się tam odbyć w dniach od 14 do 16 lutego br. Glemp oznajmił, że

jeśli z uwagi na nawal terminów nie będzie mógł osobiście być obecny, z pewnością wyśle na nią swojego przedstawiciela. Byłaby to pierwsza w historii wizyta głowy Kościoła polskiego w ZSSR.

Tagesspiegel (23. 01.) doniósł, że wizyta Glempa w ZSSR przeszkodziłaby w zrealizowaniu planowanej na rok następny ewentualnej wizyty papieża w tym kraju.

„MYCIE” CZARNEJ MADONNY

Pracownicy sekcji fizyki plazmowej Instytutu Maxa Plancka w Garchingu koło Monachium oczyszcili ostatnio mocno zabrudzoną koszulkę srebrną słynnego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Poparcia tej akcji udzieliło również bawarskie Muzeum Narodowe, gdzie przygotowano wystawę rzeźb srebrnych ze skarbcza klasztoru na Jasnej Górze.

Jak podaje *FAZ* (26. 01.) plazmatyczna metoda renowacji srebrnych dzieł sztuki w przeciwieństwie do powszechnie stosowanych metod mechanicznych i chemicznych nawet w najmniejszym stopniu nie narusza struktury obiektu.

REJESTR PAPIESKICH PIELGRZYMEK

FAZ (26. 01.) poświęcił duży artykuł pielgrzymkom papieża Jana Pawła II, przypominając, że trasa 32 papieskich wędrówek objęła — po ostatniej wizycie w Australii — wszystkie pięć kontynentów. Lubujący się w statystykach dziennikarze zachodni podali też za sprawozdaniem Radia Watykan, iż papież przebywał w podróży łącznie 216 dni 7 godzin i 35 minut, odwiedził 303 miejscowości, wygłosił 1128 kazań i pokonał 465 439 km, czyli „dwa obwody kuli ziemskiej (80 tys. km) więcej niż odległość między Ziemią i Księżycem (384 tys. km)”. Najdłużej, bo aż 12 dni przebywał papież w Brazylii, natomiast dwukrotny pobyt w Polsce objął w sumie 15 dni, 16 godzin i 20 minut.

BURMISTRZ NOWEGO JORKU W POLSCE

Z 5-dniową wizytą przybył do Polski burmistrz Nowego Jorku, syn żydowskiego emigranta z Polski, Edward Koch — donosiła *Süddeutsche Zeitung* (26. 01.). We wtorek 27. 01. spotka się z Wałęsą, ma również nadzieję, że zostanie przyjęty przez przewodniczącego Rady Państwa i szefa partii Jaruzelskiego.

Jak poinformował Departament Stanu USA w dniach od 27. 01. do 7. 02. br. podróż do Polski, a następnie do Czechosłowacji i Bułgarii odbyć ma również amerykański wiceminister spraw zagranicznych John Whitehead.

Kraj w prasie PRL



CHŁOP BEZ DACHU NAD GŁOWĄ?

Okolo 25 % domów chłopskich w Polsce pochodzi jeszcze sprzed 1918 r. Okolo 15 % obiektów inwentarskich liczy więcej niż 50 lat. Od 1980 r. wznieziono o 31 % mniej budynków inwentarskich, zmniejszyli się także o 27 % zakres modernizacji istniejących obiektów. W 1985 r. przekazano 78 tys. budynków mieszkalnych i produkcyjno-gospodarczych na wsi, czyli o 7 % mniej w porównaniu z rokiem 1984. W 1985 r. na rynek wiejski trafiło mniej o 25 % cementu, 12 % tarcicy, 7 % eternitu. Kompletnie brakuje materiałów termo-izolacyjnych (styropian, wełna mineralna). Brakuje również wyrobów instalacyjnych, zwłaszcza sanitarnych. (*Rzeczpospolita*, 11. 11. 86).

KTO JEST NIEBEZPIECZNY DLA PRL?

Z analizy dotyczącej działalności polskojęzycznych rozgłośni i wydawnictw emigracyjnych przeprowadzonej przez Instytut Nauki o Partii wynika, że najniebezpieczniejszym wrogiem dla kierownictwa partyjno-politycznego PRL jest nadal „Wołna Europa”, obok niej wymienia się „Problemy komunizmu”, które wydawane są w Waszyngtonie, „Europę Wschodnią”, która ukazuje się w Stuttgarcie, „Kulturę” wydawa-

ną przez Instytut Literacki w Paryżu oraz kwartalnik „Aneks” wychodzący w Londynie. W dalszym ciągu raport instytutu wymienia takie wydawnictwa jak: paryski „Kontakt”, chicagowski „Pomost”, a także londyński „Puls”. (*Radio Warszawa*, 17. 11. 86).

A JEDNAK UCIEKAJĄ!

Życie Warszawy (25. 11. 86) podaje, że między 1959 a 86 rokiem o azyl polityczny we Włoszech wystąpiło około 12 tys. Polaków. „Nie ma tygodnia, aby z polskich wycieczek orbisowskich czy PTTK-owskich, z pielgrzymek czy spośród przybywających indywidualnie nie wybrało niepewnego losu po kilka, czy nawet po kilkanaście osób” — ubolewa autor artykułu.

TRUJĄCE MIESZKANIA

Na osiedlu Waryńskiego w Gliwicach w rok po oddaniu kilkunastu bloków mieszkalnych brigady remontowe zrywają podłogi, odkuwając jednocześnie wyluki betonowe. Powodem są wydzielające się z podłogi trujące związki izolacji międzystropowej, które prowadzą do niebezpiecznych chorób dróg oddechowych i oczu. Do remontu, jak dotąd zgłoszono 150 mieszkań. (*Radio Warszawa*, 28. 11. 86).

AUTODAFE POLSKIEJ KINEMATOGRAFII

W *Tygodniku Kulturalnym* (27. 11. 86) Maciej Pawlicki pisze: „z systemu przedsiębiorstwa rozpowszechniania przechodzimy do systemu tzw. jednostek kinematografii. Mówiąc po ludzku — przechodzimy do systemu nakazowego już bez owijania w bawełnę, bez ogródek, bez pozorów. Jednostka kinematografii podlega bezpośrednio ministerstwu. Teraz już otwarcie dotować będziemy filmy tzw. preferowane. Ministerstwo zadebituje, co lubi, a my będziemy za pokazywaną tego przed pustymi salami płacić hojną ręką. Reforma polegająca na powrocie do systemu nakazowego, na centralizacji władzy i odebraniu odpowiedzialności ekonomicznej pracownikom kin ma wielką szansę w krótkim czasie rozłożyć rozpowszechnianie do końca. Teraz pozostaje już tylko obowiązkowe chodzenie do kina.

PARTYJNE POUCZENIE POD ADRESEM DZIENNIKARZY

Sekretariat Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu wywosłował list do dziennikarzy wrocław-

skich, w którym zawarte są postulaty bardziej krytycznego i odważniejszego spojrzenia na zjawiska życia codziennego w publikacjach prasowych, radia i telewizji. Potrzebna jest publiczna ocena i kontrola wymuszająca społeczne działania — napomina *Trybuna Ludu* (24. 11. 86) — nawołując jednocześnie do zachowania zwartości szeregów.

OCENA POZIOMU ŻYCIA

Amerykańscy uczeni z uniwersytetu w Pensylwanii przeprowadzili badania dotyczące poziomu życia w poszczególnych krajach na świecie. Analiza brała pod uwagę dane dotyczące sytuacji ekonomicznej i społecznej oraz czynniki kształtujące jakość życia takie m. in. jak czynniki socjalne, polityczne i kulturalne, system usług społecznych, swobody i tradycje demokratyczne oraz niski poziom militarystyki. Z badań tych wynika, że krajem, którego mieszkańcy cieszą się najwyższym standardem życiowym na świecie jest Dania. Drugie miejsce zajmują nieoścziwanie Włochy, a następnie RFN, Austria, Szwecja, Francja, Norwegia, Irlandia, Holandia i Belgia. W czołowej dziesiątce zabrakło krajów uznawanych powszechnie za najbogatsze. Wielka Brytania znalazła się np. dopiero na 12 miejscu. (*Rynki Zagraniczne*, 7. 11. 86).

Niestety, miejsc zajmowanych na tej liście przez kraje „realnego socjalizmu” w badaniach tych nie wymienia się. Szkoda.

CIAŻA NA CENZUROWANYM

Lekarze obradujący we Wrocławiu na zjeździe Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego zwrócili uwagę na niedostatek środków antykoncepcyjnych w PRL. Te, które są dostępne można nabyć jedynie w „Pewexie” za dolary. Produkowane w niewielkich ilościach krajowe spirale kosztują 1 tys. zł za sztukę. Lekarze krytycznie ocenili również stan popularyzacji wśród młodzieży wiedzy o antykoncepcji, a także niedostateczną ochronę zdrowia kilkunastoletnich dziewcząt, z których statystycznie co szósta usuwa niepożądaną ciążę. Jak stwierdzono, w Polsce wykonuje się corocznie około 6050 tys. zabiegów przerywania ciąży.

KTO JEST BEZ GODNOŚCI?

Dla pisarza Lesława Bartelskiego „najbardziej przykrą sprawą jest brak u wielu naszych rodaków godności narodowej”. (*Rzeczpospolita*, 21. 11. 86).

Pisarz przezornie nie wymienia kogo ma na myśli. A byłoby ciekawe.

„Monar” ogłosił w Polsce akcję czyszczenia publicznych szaletów przy pomocy proszku i szcztotek, dostarczony przez wojewódzkie oddziały „Społem” (*Radio Warszawa*, 23. 11. 86).

W OJCZYŹNIE KRÓLA UBU

„Dynamizm gospodarczej inicjatywy i przedsiębiorczości wymaga szerokiego zakresu demokracji — to prawda. Historia dowodzi, że bez tej ostatniej możliwe są tylko względnie krótkotrwałe zrywy gospodarki wojennej czy wielkich skoków, ale osiągnięcia demokracji politycznej trwale korzenie zapuścić mogą tylko, gdy indywidualna i grupowa inicjatywa ludzka przynosi satysfakcjonujące ludzi owoce gospodarczego rozwoju i postępu” — pisze dziennikarz *Prawa i Życie* (23. 11. 86).

Treść artykułu dotyczy „polskich paradoksów”. Niestety, nie wiemy, po której stronie ten paradoks się sytuuje. Czy dlatego, że w Polsce jest demokracja, lecz nie można osiągnąć gospodarczego rozwoju i postępu, czy też tego ostatniego osiągnąć nie można dlatego, że w Polsce demokracji po prostu nie ma.

BRAK LEKÓW

W Polsce brakuje leków. W III kwartale br. w Poznaniu zrealizowano zaledwie 38 % dostaw medycznych dla aptek i szpitali. W Warszawie realizacja zamówień osiągnęła 50 %, w województwie kiełekim 35 %. Tymczasem import zaopatrzeniowy z krajów II obszaru płatniczego wzrósł z 116 mln dolarów w 1985 r. do 203 mln dolarów w 1986 r. (*Stowo Powszechne*, 13. 11. 86).

CO SIĘ STAŁO Z MIENIEM REPATRIANTÓW?

Wielu repatriantów z ZSSR pyta o możliwość uzyskania rekompensaty za mienie tam pozostawione. Wielu z nich zgłasza obecnie roszczenia o przydzielenie im w zamian za nierucho- mości pozostawione na ziemiach nie wchodzących obecnie w skład terytorium PRL domów lub lokali. Roszczenia te są jednak nieuzasadnione. Umowy międzynarodowe rodzą prawa i obowiązki wyłącznie pomiędzy umawiają-

cymi się państwami, nie mogą zaś być źródłem bezpośrednich roszczeń cywilno-prawnych ich obywateli. Źródłem uprawnień dla obywateli PRL są jedynie ustawy określające charakter i zakres tych uprawnień. (*Słowo Powszechne*, 13. 11. 86).

ZBLIŻA SIĘ ERA NOWEJ ZŁOTÓWKI

Jeśli polityka gospodarcza PRL będzie w przyszłości równie miłosierna i łagodna jak teraz, to przeciętny zarobek będzie wynosił 50-60 tys. zł. miesięcznie, dobry zarobek 300-400 tys. zł, jajeczko będzie kosztowało 50-60 zł, kilo szynki 3-4 tys., przyzwoity garnitur 30-40 tys., a nieśmiertelny „Polonez” 3-4 mln. Dojdziemy kiedyś wreszcie do stabilizacji waluty i zrobimy sobie NOWĄ ZŁOTÓWKĘ. Jaki powinien być i mam nadzieję, że będzie scenariusz tej operacji? Po prostu podzielimy wszystko przez 100 nie robiąc żadnej natychmiastowej wymiany. Powiedzmy, w którymś miesiącu zainkasowaliśmy wypłatę 68 700 zł, a w następnym dostaniemy w nowym pieniądzu 687 zł. Kupując cokolwiek za 50 zł czy 10 tys. zł będziemy mogli zapłacić albo banknotem 50 zł czy 10 tys. zł, albo monetą 50 gr lub banknotem 100 zł. Zgłaszając się po pieniądze do PKO otrzymamy je już w nowej walucie, a pracownica banku dokona przy okazji stosownej zmiany w naszej książeczce: podkreśli czerwoną kreską dotychczasowy stan oszczędności 327 655 zł i wpisze 3 276,55 zł. (*Rzeczpospolita*, 15./16. 11. 86).

Aby nie było wątpliwości. Autor artykułu pisząc o reformie Grabskiego, bez ogródek chwaliąc jej zalety, mówi o zbliżającej się być może niedługo w Polsce wymianie pieniędzy.

W Warszawie jeden szaleł przypada na 70 tys. warszawiaków.

W ubiegłym roku zmarło w polskich szpitalach 7 tys. niemowląt na skutek skandalicznych warunków higienicznych w nich panujących. (*Odrodzenie*, 1. 11. 86).

WCZASY ZA GRANICĄ

Jak wynika z informacji biura usług turystycznych 5-dniowa wycieczka na Węgry kosztowała w 1978 r. 3 do 4 tys. zł, do Rumunii 9-12 tys. zł, dwa tygodnie w Bułgarii 4 do 5 tys. zł, 20 dni w Jugosławii 14-16 tys. zł. W 1986 r.

za 5 dni na Węgrzech trzeba zapłacić 15-17 tys. zł, Jugosławia tylko za dewizy, Rumunia jest nieosiągalna, a Bułgaria około 40 tys. za hotel i 25 tys. za kwatery prywatne. (*Życie Warszawy*, 4. 11. 86).

W Polsce jest ponad 3,5 mln inwalidów oraz osób niepełnosprawnych. (*Radio Warszawa*, 12. 11. 86.).

SEDZIA NIE ŻARTOWAŁ

Sąd Rejonowy w Cieszynie wydał wyrok w sprawie o nieprofesjonalny streap-tease, który wykonała w miejscowej restauracji „Centralna” Agata B. Sąd skazał ją na 2 lata więzienia, zobowiązując jednocześnie do przepracowania w tym czasie 25 godzin miesięcznie na cele społeczne. (*Radio Warszawa*, 13. 11. 86).

MIESZKAŃ NIE BĘDZIE

Przed 5 laty, gdy rozwijano ruch społeczny w sprawie dodatkowych spółdzielczych mieszkań, mówiło się o szybkiej budowie 100 do 120 tys. lokali w domach indywidualnych i budownictwie wielorodzinnym. Tymczasem w pierwszym półroczu br. wybudowano niecałe tysiąc mieszkań w budynkach wielorodzinnych i 13 domków jednorodzinnych. Małe spółdzielnie budowlane znajdują się obecnie w przededniu klęski — informuje *Radio Warszawa* (10. 11. 86).

Włodzimierz Sokorski: „Kochać życie, to kochać socjalizm”. (*Radio Warszawa*, 8. 11. 86).

PRZEMYT DZIEŁ SZTUKI

Wzrasta w ostatnich latach nielegalny wywóz dzieł sztuki z Polski. W latach 1980-85 wszczęto około 900 spraw sądowych przeciwko sprawcom przemytu dzieł sztuki. Listy wywożonych z Polski nielegalnie dzieł obejmują m. in. wyroby porcelanowe, grafikę, numizmaty, samowary, obrazy, wyroby z metali, wyroby medalierskie, książki i rękopisy, a także tkaniny i dywany, a zdarza się, że też i meble. W 31 % sprawcami przemytu są obywatele polscy, taki sam procent stanowią obywatele RFN, Jugosłowian jest 7 %, Francuzów 5 %, Belgów 4 %, Włochów 4 %, Holendrów 3 % i Amerykanów 1 %. (*Słowo Powszechne*, 27. 10. 86).

WYROK ZA PRYWATNE SEANSE PORNO

Sąd Rejonowy w Goleniowie skazał jednego z mieszkańców Szczecina za „rozpowszechnianie pornografii” (we własnym mieszkaniu) wymierzając mu grzywnę w wysokości 100 tys. zł oraz przepadek na rzecz skarbu państwa sprzętu wideo. (*Trybuna Ludu*, 29. 10. 86)

Stodiek's Buchhandlung und Galerie — Księgarnia Polska prowadzi wydawnictwa emigracyjne i krajowe. Sprzedaż wysyłkowa, katalogi wysyłamy bezpłatnie na każde żądanie. Richard-Wagner-Str. 39, D-1000 Berlin 10. Tel. (030) 341 10 40

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

NOWE DONIESIENIA O LOSIE SOWIECKICH DYSYDENTÓW

Jak informuje *Die Welt* (16. 01.) federalny minister ds ochrony środowiska Walter Wallmann oraz minister nauki Riesenhuber zaapelowali do sowieckiego ministra zdrowia o natychmiastowe przeniesienie do szpitala przetrzymywanego w obozie karnym w Permie psychiatry Anatolija Koriagina. Poinformowało o tym Międzynarodowe Towarzystwo Praw Człowieka we Frankfurcie nad Menem. Koriagin przebywał w więzieniu od roku 1981, kiedy to skazany został na karę 12 lat pozbawienia wolności za domaganie się zaprzestania nadużywania psychiatrii do celów politycznych.

Z kolei *FAZ* (17. 01.) donosi, że w bardzo złym stanie zdrowia znajduje się sowiecki pisarz i dysydent Siergiej Grigorian, który od roku 1983 odsiadytuje 7-letni wyrok w więzieniu w Czystopolu. Jego żona Tamara poinformowała, że od lipca 1986 r. nie otrzymała od męża żadnego listu. Grigorian wraz z niezającym już Marczenką prowadził głodówkę protestacyjną. Po śmierci Marczenki Tamara Grigorian wysłała mężowi paczkę z żywnością i witaminami, przesyłka wróciła jednak z powrotem. Żona dysydenta skierowała list do Gorbaczowa, po czym otrzymała odpowiedź od sowieckiego wymiaru sprawiedliwości, iż stan zdrowia jej męża „jest zadowalający”. Więziony już uprzednio w latach 1975-80 Grigorian był współwydawcą podziemnego czasopisma.

CHINY: ZMIANY NA SZCZYCIE

16. 01. ustąpił ze swego stanowiska pozostając nadal członkiem KC, 71-letni sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin Hu Yaobang. Na jego następcę Biuro Polityczne wyznaczyło dotychczasowego premiera Zhao Ziyanga. Chińska agencja prasowa *Sin-hua* poinformowała, iż rządzący od 1980 r. Hu składając urząd złożył również samokrytykę. Obserwatorzy podkreślają, że zmiany w Pekinie mają bezpośredni związek z demonstracjami studenckimi, które miały miejsce — píše *Süddeutsche Zeitung* (17./18. 01.) — w 13 miastach Chin w dniach od 13. 12. 86 do 1. 01. br. Podczas spotkania z delegacją Komunistycznej Partii Węgier nowy sekretarz generalny KPCh zapowiedział, że nie przewiduje

żadnych zmian w dotychczasowej polityce Chin.

Po powrocie do Europy węgierscy dyplomaci poinformowali — píše *FAZ* (20. 01.), że zdaniem nowego sekretarza KPCh jego poprzednik był słabo zareagował na tendencje rozprzestrzeniającego się w kraju „burzowego liberalizmu”. Zachodni dyplomaci przebywający w Pekinie są zdania, iż były szef partii Hu zachowując milczenie popierał w gruncie rzeczy żądania intelektualistów dążących do rozszerzenia wolności i demokracji. Z kolei premier Chin Li Peng zapewnił, że trwająca obecnie kampania ideologiczna nie ma na celu walki z protestującą inteligencją. Jednocześnie jednak znany chiński astrofizyk Fang Lizhi, którego zarzucono szerzenie „drobnomieszczańskiego liberalizmu” i który poparł ostatnie wystąpienia studenckie, wykluczony został z KPCh. Fang Lizhi uważany jest za „chińskiego Sacharowa”.

ZIMA W EUROPIE

Od początku br. ciężka zima spowodowała w Europie śmierć minimum 200 osób. 1 tak w ZSSR zmarło 77 osób, w Polsce 35, w Wielkiej Brytanii 27, we Francji 17, w Hiszpanii 11 i 6 w RFN.

Z Berlina Wschodniego nadeszły wiadomości o przerwach w ogrzewaniu różnych obiektów użyteczności publicznej, we wschodniej części Węgier zamieć śnieżna odcięła od świata 150 osób. m. in. austriackiego ambasadora w tym kraju — poinformował *Tagesspiegel* (16. 01.).

WYBORY W RFN

25. 01. odbyły się w RFN długie oczekiwane wybory parlamentarne. Zwyciężyła w nich — jak można się było tego spodziewać — dotychczasowa koalicja rządząca CDU/CSU/FDP. 1 tak CDU/CSU otrzymały 44,3 %, SPD 37,0 %, FDP 9,1 %, „Zieloni” 8,3 %, na pozostałe 10 partii przypadło 1,3 %. (*FAZ*, 26. 01.).

CZY RFN GROZI ROK 1933?

Spśród 10 małych partii politycznych ubiegających się w wyborach parlamentarnych o miejsca w Bundestagu najsilniejszą okazała się pravicowa NPD, która zdobyła 0,6 % głosów.

Oznacza to prawie 230 tys. oddanych na tę partię kartek wyborczych.

W porównaniu z rokiem 1983, kiedy NPD zdobyła tylko 0,2 % głosów (91 tys.) jest to ponad trzykrotny wzrost. Wprawdzie tegoroczny wyrok znajduje się poniżej bariery 5 % wymaganych do zdobycia głosów umożliwiających danej partii posiadanie swego przedstawicielstwa w parlamencie, ale i tak sukces NPD jest godny uwagi.

Jeśli bowiem do tej liczby wyborców głosujących na skrajną prawicę doliczyć tych, którzy są jej sympatykami, a którzy w poczuciu realizmu sytuacji oraz z przekonania, iż trzeba pomóc partiom CDU i CSU, oddali swój głos na to właśnie partie, otrzymamy wówczas zarys pewnej tendencji, ku której zwraca się część społeczeństwa RFN.

Byłoby rzecz jasna bzdurą sądzić, iż obywatele RFN pragną by rządziła nimi neofaszystowska skrajna prawica. Z drugiej strony byłoby również naiwnością uważać wspomniane zjawisko za marginalne i taką też z góry przewidywać dlań przyszłość. Gdy rozum śpi...

PORWANIE W BEJRUCIE

17. 01. w Libanie wprowadzono dyrektora oddziału bliskowschodniego zachodniemieckiego koncernu farmaceutycznego Höchst, 53-letniego dr. Rudolfa Cordesa. Naoczni świadkowie twierdzą, że został on porwany przez grupę uzbrojonych mężczyzn w drodze do domu. Policja libańska, podobnie jak prasa zachodnia, nie żywi wątpliwości, że porwanie Cordesa pozostaje w bezpośrednim związku z aresztowaniem sztyckiego terrorysty Mohammeda Ali Hamadei we Frankfurcie nad Menem, któremu grozi proces za przygotowanie porwania samolotu amerykańskich linii lotniczych TWA w czerwcu 1985 r. Po aresztowaniu Hamadei władze libańskie ostrzegły ambasade RFN o niebezpieczeństwie, jakie od tej chwili zagraża wszystkim mieszkającym w Libanie Niemcom — píše *TAZ* (19. 01.). Metoda porwania zakładników w odwieczną za akcje antyterrorystyczne jest w tym kraju „bardzo popularna” i tylko w ostatnich miesiącach wprowadzono tam lub zabiło 19 osób. Byli to głównie obywatele amerykańscy i francuscy.

23. 01. nadeszła wiadomość o wprowadzeniu — jak píše *Tagesspiegel* (24. 01.) — następnego obywatela RFN zatrudnionego w Libanie, technika koncernu Siemens — Alfreda Schmidta.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

Frankfurter Rundschau (26. 01.) z kolei informuje o dalszych porwanach w Libanie. Tym razem uprowadzono 4 obywateli amerykańskich, wykładowców amerykańskiej szkoły w Bejrucie. Anonimowy rozmówca poinformował już w miniony piątek 23. 01. chrześcijańską radiostację „Głos Libanu”, iż jego organizacja o nazwie „Prześladowani święta” jest gotowa zabić dwóch zachodniemieckich zakładników, jeśli RFN nie zwolni aresztowanego terrorysty Hamadeiego.

ROZRUCHY NA FILIPINACH

Protestujący 22. 01. w Manili chłopi — pisze *TAZ* (23. 01.) — wysunęli żądania przeprowadzenia reformy rolnej. Demonstrantów, którzy usiłowali dotrzeć do pałacu prezydenckiego powstrzymały uzbrojone oddziały policji i wojska, które bez uprzedzenia otworzyły ogień. 18 osób poniosło śmierć, a 90 zostało rannych.

Jak wynika z dalszych informacji (*TAZ*, 24. 01.) największa filipińska centrala związkowa wezwwała swych członków do akcji protestacyjnych — blokady ulic i strajków okupacyjnych. Równocześnie zażądała ustąpienia ministra obrony Ileta, a także głównodowodzącego, generała Ramosa. Pani Aquino wystąpiła przed kamerami telewizji wyrażając „głębokie współczucie rodzinom ofiar”, obiecała również przeprowadzenie niezależnego dochodzenia w sprawie tej — jak ją nazwała w międzyczasie prasa światowa — „krwawej łaźni”.

Również w kręgach rządowych w Manili dało się słyszeć ostre głosy krytyki. Demokratyczna partia socjal-chrześcijańska wystąpiła z koalicji popierającej dotychczas panią Aquino. Zrezygnowali również ze swych stanowisk członkowie komisji praw człowieka powołanej przez panią prezydent.

ZSSR — ZMIANY POZORNE CZY RZECZYWISTE?

Od dłuższego już czasu prasa zachodnia niemal codziennie informuje czytelników o „nowych”, „rewelacyjnych” zmianach, jakie mają miejsce w Sowietach i które niewątpliwie świadczą o postępach demokracji w tym kraju.

Jak pisze *Tagesspiegel* (23. 01.) w Leningardzie otwarto pierwszą w ZSSR prywatną kawiarnię. W tym samym wydaniu berliński dziennik infor-

muje też, że wydawany w Moskwie tygodnik w jęz. angielskim *Moscow News* stanął w obronie grupy chrześcijan z Okrabiarska, którym — niezgodnie z sowiecką konstytucją — miejscowe władze odmówiły prawa do rejestracji grupy wyznaniowej i kupna domu spotkań. „Prawo stoi zdecydowanie po stronie wiernych” — napisała sowiecka gazeta, co bez komentarza przytoczył berliński *Tagesspiegel*.

Również *TAZ* (23. 01.) podał za DPA informację, iż w ZSSR zaprzestano zgłaszania audycji Radia BBC w języku rosyjskim, które słuchane są regularnie przez ok. 18 mln obywateli sowieckich. Przypuszcza się, że ta decyzja nie pozostaje w związku z planowaną na marzec wizytą pani Thatcher w Moskwie.

Frankfurter Rundschau (20. 01.) doniósł, że redaktor naczelny moskiewskiej *Prawdy* skrytykował zbyt długo trwającą procedurę związaną z wydaniem paszportów. Natomiast sowiecki pisarz Jewgienij Jewtuszenko — jak pisze *FAZ* (26. 01.) — stwierdził, że społeczeństwo sowieckie jest „związkiem wierzących i niewierzących”, co opublikowano w 10 min nakładzie *Komsomolskiej Prawdy*. Jewtuszenko poddał krytyce „prymitywne dzielenie świata na wierzących i niewierzących”.

OPOZYCJA NA ŁOTWIE I LITWIE

Dopiero teraz nadeszły informacje — pisze *Die Welt* (20. 01.) — iż w nocy z 27 na 28 grudnia ub. roku 300

demonstrantów zebrało się na Placu Katedralnym w Rydze (nota bene po zakończonym tam koncercie muzyki rockowej), żądając przywrócenia Łotwie niepodległości i suwerenności.

FAZ (21. 01.) pisze natomiast, iż na Łotwie powstaba kolejna w ZSSR, a druga w republikach nadbałtyckich tzw. Grupa Helsińska — poinformowała o tym organizacja uchodźcza „Światowy Związek Wolnych Łotyszów”.

W Kownie na Litwie toczy się w chwili obecnej proces przeciwko skazanemu w roku 1983 na wieloletnią karę więzienia Patackasovi. Na świadka w procesie powołano księdza Tankevičiusa, również od wielu lat więźnia GUL-agu. Proces jest próbą udowodnienia, że obaj, oskarżony i świadek, byli współredaktorami wydawanej od ponad 15 lat kroniki Kościoła katolickiego na Litwie — podała *Die Welt* (21. 01.).

NIEPOKOJE UCZNIOWSKIE W HISPANII

Jak donosi *FAZ* (26. 01.) w Hiszpanii doszło ponownie do długotrwałych demonstracji setek tysięcy uczniów gimnazjalnych. Doszło do starć z policją. W Madrycie policja postrzeliła w plecy 16-letniego ucznia. Po obu stronach znaleźli się liczni ranni. Trzech policjantów zwolniono ze służby za używanie podczas walk ostrej amunicji. Uczniowie domagają się: zniesienia egzaminów wstępnych na studia, zniesienia obowiązku czesnego i wprowadzenia stypendiów studenckich. ■

Jedyna w Bawarii **POLSKA Drukarnia Offsetowa**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne

organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

NOWA POWIEŚĆ MARQUEZA

Po przeszło 5-letniej przerwie znany kolumbijski pisarz Gabriel Garcia Marquez opublikował nową powieść. „Miłość w czasie cholery”, która w tłumaczeniu z hiszpańskiego ukazała się na rynku zachodnionieemieckim. Hamburski magazyn polityczny *Der Spiegel* (19. 01.) zamieszcza obszernie jej omówienie.

Na przeszło 500 stronach Marquez opiewa miłość i tyłko miłość, aż po happy-end — młodzieńczą miłość pełną burz i łagodnie uczucie „szarych panter”; miłość małżeńską i tę nieskrępowaną w hotelu na godzinny, miłość ludzi wiernych i grzesznych, „samotnych myśliwych”, wesolych wdówek i słodkich Lolit; miłość romantyczna, sentymentalna i melodramatyczna, pełną blasku, bólu i kiczu; taką — według słów samego autora „jaka jest ona naprawdę, prawie jak mydlana opera”.

Pewien młodzienc, Florentino Ariza, zakochuje się od pierwszego spojrzenia, kiedy roznosząc telegramy spotyka 13-letnią Ferninę Daza. Od tej chwili jego uczucie „szaleje bardziej niż cholera”. Pisze wiersze i bilety do niej, śpiewa nocą serenady pod jej oknem, z szalonej miłości połyka rdze i gardenie, pije litrami wodę kolońską, aż jego bogini wysłuchuje go. Leczą, jak to w życiu bywa, Fernina dostrzega nagle, że jej wybranek jest błądliwy i do tego krótkowidz, puszcza go kantem, aby znaleźć sobie lekarza z arystokratycznym pochodzeniem itd. itp. Florentino jednak nie rezygnuje i czeka na swą wybrankę 51 lat, 9 miesięcy i 4 dni. Mały więc upragniony happy-end.

W książce Marqueza czytelnik znajdzie tu typowy obraz Ameryki Łacińskiej, romantyzm z pogranicza kiczu, wszystko opisane z dużą dozą komizmu, ironii i wycucia języka.

WYWIAD Z DEPARDIEU

Na ekrany kin RFN wszedł właśnie nowy film produkcji francuskiej pt. „Abendanzug” (Wieczorowy garnitur) z Gerardem Depardieu w roli głównej, aktorem znanym dobrze również polskiej publiczności m. in. z filmu Wajdy „Danton”. Obok recenzji z filmu *Süddeutsche Zeitung* (23. 01.) zamieszcza z tej okazji także wywiad z aktorem. Oto fragmenty:

— Na ile, Pana zdaniem, sztuka aktorska ma do czynienia z twórczością?

— Aktorstwo jest dla mnie przede wszystkim czymś w rodzaju anegdoty. Aktor to w pewnym sensie wykwalifikowany robotnik. Film jest przecież już wcześniej gotowy, w głowie, jako idea i to jest właściwa robota. Pomysł jest największym przedsięwzięciem. Ja robię prawie wyłącznie filmy autorskie, o wiele rzadziej z reżyserem, który ma nastawienie technika. (...)

— Czy jest to (chodzi o najnowszy film — przyp. red.) opis naszego społeczeństwa?

— Dawniej analizy społecznej dokonywali filozofowie, ale dzisiaj filozofów już nie ma. Pozostały tylko media, które ich zastępują. Ludzie wchłaniają obrazy. Ten brak filozofii

czy ducha czyni nas wszystkich niemowami, nie wyłączając również mnie. Także język staje się coraz uboższy i stracił na sile. Funkcjonujemy coraz bardziej na zasadzie kodu. To musi się naturalnie odzwierciedlać w stosunkach międzyludzkich, które także stają się coraz uboższe. Słowo „rodzina” jest pozbawione sensu, służy to tylko formalności, rozwój jest czystym naturalnym.

— Czy mógłby Pan sobie wyobrazić, iż pewnego dnia, tak jak Yves Montand, zaczyna Pan karierę polityczną?

— Nie, nie sądzę.

— Dlaczego?

— To jest zupełnie inny świat, który nie jest w stanie mnie zafascynować. Montand musi to lubić, ja wolę pozostać przy moich filmowcach i autorach.

— O Francuzach mówi się, że są stosunkowo obojętni jeśli chodzi o problemy środowiska naturalnego. Z jaką świadomością żyje Pan po katastrofie w Czernobylu?

— Przemysł nuklearny stwarza zagrożenie. Rząd francuski usiłował zbagatelizować Czernobyl. Ja sam żyję w przeświadczeniu, że nasza egzystencja jest coraz bardziej zagrożona. Zgadzałem się z tym, że Francuzi są przekonani, iż taka katastrofa może się wydarzyć każdemu, tylko nie im. Świadomość problemów środowiska naturalnego jest niższa niż w Niemczech. A przecież Cousteau od lat alarmuje, że Morze Śródziemne umiera. Sposób rozumowania ekologów jest czasem naiwny. Krzyżuje się tu zbyt wiele interesów, przede wszystkim ludzi posiadających olbrzymie wpływy.

— Dlaczego język w Pańskim filmie jest tak brutalny i wulgarny?

— Język jest prawdziwy. Trzeba przecież nazwać rzeczy po imieniu. Aby pokazać ludzi nocy i ulicy w sposób prawdziwy istnieje tylko jedna możliwość — musi się użyć bezpośredniego języka. To jest poezja. (...)

— Seks jako temat filmu...

— To także pewien rodzaj języka.

— Czy seks jest obecnie jedyną prawdą ludzką o naszym zakłamanym społeczeństwie?

— Co opisuje seks? To przecież tylko dyszenie. Od Moliera po Szekspira do dziś nic się nie zmieniło. Przez wieki żyliśmy z tymi dźwiękami. Potrzebujemy to zwierzęce odczucie, rozkoszujemy się tym momentem, kiedy własnym sposobem zachowania upodabniamy się do zwierząt. Niepodobna tego plectnować, tak jak nie można plectnować odwagi języka w tym filmie.

— Odwaga poruszania wciąż istniejących tematów tabu?

— Jeśli gubimy się w zwariowanym, intensywnym seksie wówczas działa to na nas jak oczyszczający prysznic. Nie apeluję tu jak maniak seksualny o niemoralny tryb życia. Należy jednak zurzyć wszystkie zahamowania. Są one czymś niszczącym i niweczącą czystością seksualizmu. Powinno się być otwartym na wszystkie jego formy i nie widzieć w tym żadnych chorób (...).

KŁOPOTY Z DOLAREM

Większość krajów Europy Zachodniej jest zaniepokojona spadkiem wartości dolara. Czołowi politycy RFN z troską wypowiedzieli się na ten temat rozważając konsekwencje tego faktu, które mogą przyczynić się do osłabienia czy nawet załamania koniunktury. Były minister gospodarki hrabia Lambsdorff wezwał rząd federalny do podjęcia kroków zapobiegawczych — pisze *Frankfurter Rundschau* (16. 01.). W tym samym dniu średni kurs dolara wynosił 1,8350 DM. Eksperti obawiają się, że najbardziej ucierpi na tym zachodniemiecki przemysł maszynowy, który jeszcze w ub. roku wyeksportował do USA urządzenia na sumę 11 mld DM. Również na innych rynkach, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata, możliwości zbytu stają się coraz mniejsze, gdyż ze względu na wysoką wartość marki towary z RFN są coraz droższe.

W związku z tym wielu ekspertów uważa, iż druga faza reformy podatkowej rządu Kohla, planowana na rok 1988, powinna być zrealizowana już obecnie, aby w ten sposób „nakreślić” wewnętrzną koniunkturę.

CO SIĘ DZIEJE Z DINAREM?

Początek nowego roku zaszkodził obywateli Jugosławii. Choć jeszcze kilka dni wcześniej rząd zapewniał, że w 1987 r. inflacja zostanie zahamowana, nagle podrożało 500 różnych artykułów spożywczych i to w niektórych przypadkach aż o 120 %.

Bank Narodowy Jugosławii ledwo nadąza z drukowaniem nowych banknotów. 5000 dinarów jest najwyższym nominałem, dlatego też wielu obywateli kupując np. auto lub telewizor musi nosić gotówkę w teczkach lub torbach plastikowych. W zakładach pracy całe armie urzędników przeliczają sterty stale tracących na wartości banknotów. Rocznie spala się 200 ton zużytych środków płatniczych, ale i tak mienicę państwową codziennie opuszcza wagon nowo wydrukowanych pieniędzy. Jugosłowianie tracąc zaufanie do dinara wolą lokować kapitał w walutach obcych, w tym najczęściej w marce zachodniemieckiej, gdyż stopa inflacji marki jest niska i przynosi więcej zysku aniżeli oprocentowanie wkładów oszczędnościowych w dinarach — informuje *Frankfurter Rundschau* (21. 01.).

Nic więc dziwnego, że kwitnie czarny rynek dewizowy. Istnieją trzy główne źródła napływu dewiz do kraju. Co roku „gastarbeiterzy” jugosłowiańscy przysyłają około 4 mld DM odsprzedając je krewnym. Drugim źródłem są dewizy wymieniane na czarnym rynku przez turystów, natomiast trzecim, nielegalne transakcje organizacji handlowych. Ponoć najaktywniejsi są w tym Albańczycy.

LIKWIDACJA STAREGO TABU

Związek Sowiecki chce zlikwidować zakłady przemysłowe, których produkcja przynosi straty — donosi *Frankfurter Rundschau* (21. 01.). Według danych TASS ponad 13 % sowieckich zakładów „wygospodarowało” w ub. roku zamiast zysków, straty. Gospodarka nie może czegoś takiego tolerować. W roku 1986 w zakładach przemysłu samochodowego Togliatti rozpoczęto samodzielną kalkulację kosztów i zysków. W przyszłości tę samą metodę wprowadzić ma przemysł maszynowy i petrochemiczny. W Estonii rozpoczęto w tym roku system wynagradzania oparty na wydajności.

Według nowych zasad efektywnie pracujący robotnicy mogą zarabić od 25 do 50 % więcej niż dotychczas.

WOJNA HANDLOWA USA — WSPÓLNOTA EUROPEJSKA?

Od kilku tygodni Stany Zjednoczone grożą EW wprowadzeniem barier celnych na niektóre produkty. W związku z tym do Waszyngtonu udali się przedstawiciele Wspólnoty, aby przedyskutować sprawę wzajemnych powiązań handlowych. Chodzi tu przede wszystkim o produkty rolne. USA ządają dostępu do hiszpańskiego i portugalskiego rynku zbytu, które od momentu przyjęcia tych państw do EW zrezygnowały z zakupu produktów rolnych (głównie kukurydzy) w USA. Amerykanie obliczyli swe straty na ok. 400 mln dol. i grożą wprowadzeniem tzw. cła wyrównawczego w wysokości 200 % na produkty agrarne sprowadzane z Europy Zachodniej. Najbardziej dotknęłyby one Francję, Wielką Brytanię i Włochy — głównych eksporterów produktów rolnych do USA.

GWAŁTOWNY SPADEK KURSU MARKI NRD

Od miesiący notuje się znaczny spadek notowań kursu marki NRD. Obecnie w kantorach wymiany walut w Berlinie Zachodnim za 100 marek NRD otrzymuje się 8,85 DM (przed rokiem 18 DM). Zamknięty rynek zachodniobermiński odgrywa tu najmniej istotną rolę, gdyż wymiany dokonują głównie renciści z NRD. O wiele ważniejsze są sygnały nadchodzące z Wiednia i Zurychu, gdzie obserwuje się ten sam trend. Bardzo często dokonuje się tu tzw. transakcji walkiowych. Przy okienku bankowym zjawia się jakiś jegomotał i wymienia od 50 do 100 tys. marek NRD, które posiadają jeszcze bandedole Narodowego Banku tego kraju. Jak na razie eksperci nie są w stanie ustalić przyczyn, dlaczego tak się dzieje. Wiadomo, że w ubiegłych latach NRD od czasu do czasu zaopatrywało się w ten sposób w walutowymialne dewizy dla zakupu części wymiennych do maszyn. Jednak — jak zauważa *Süddeutsche Zeitung* (26. 01.) — kraj ten dysponuje jeszcze znacznym „luzem” w wewnątrzniemieckim kredycie, gdzie indziej należy więc szukać przyczyn tego zjawiska. Przychylenia idą również w tym kierunku, że dyplomaci krajów Trzeciego Świata akredytowani w Berlinie Wschodnim, korzystając z immunitetu dyplomatycznego szmuglują marki NRD na Zachód, aby zaopatrzyć się tam w dewizy.



*JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM *

TEHERAN. W nocy z 13 na 14. 01. wojska irańskie rozpoczęły nową ofensywę; po raz trzeci w ciągu ostatnich 4 dni Bagdad ostrzelany został irańskimi raketami ziemia-ziemia. (NZZ, 16. 01.)

ATENY. 2 miliony Greków protestowało w ciągu 24-godzinnej strajku przeciwko oszczędnościowej polityce rządu Papandreu; życie publiczne zostało w dużym stopniu sparaliżowane. (TAZ, 16. 01.)

MANILA. Niepodażeniem zakończyły się rokowania pokojowe między rządem prezydent Aquino a partyzantami komunistycznymi; osoba pani Aquino została zapropinowana przez szwedzki komitet do pokojowej nagrody Nobla. (Tagesspiegel, 16. 01.)

MONTREAL. 15 minut potrzebowali sowieccy funkcjonariusze konsulatu ZSSR w Montrealu, by dopuścić oddziały straży pożarnej do gaszenia pożaru, który wybuchł tam w dniu 14. 01. (Tagesspiegel, 16. 01.)

BONN. Policje krajów związkowych znacznie częściej niż w minionych latach zmuszone były w roku 1986 do wzywania pomocy federalnej służby granicznej (Bundesgrenzschutz) w celu tłumienia demonstracji; również zadania tej służby na granicach RFN znacznie wzrosły — na 912 mln podróży zatrzymano 13 tys. przestępców, a ponad 133 tys. osób odmówiono wjazdu do kraju. (Süddeutsche Zeitung, 16. 01.)

WARSZAWA. PRL była ostatnim punktem europejskiej wizyty premiera Japonii Nakasone, który przeprowadził rozmowy z premierem Messnerem i gen. Jaruzelskim. (Süddeutsche Zeitung, 17./18. 01.)

BERLIN ZACHODNI. Po koncertach w Austrii nie powrócił do NRD czołowy gitarzysta jazzowy tego kraju Uwe Kropinski (Die Welt, 21. 01.)

MONACHIUM. Do spektakularnego strajku doszło w Monachium 21. 01. br., kiedy to przedstawiciele

skiego związku rolników protestując przeciw zbyt niskim cenom skupu mięsa rozdali za darmo nie tylko ulotki ale też 1300 kg wieprzowiny. (FAZ, 22. 01.)

COLOMBO. Policja odkryła tu „farmę dziecięca” — hotel, w którym przetrzymywano siłą 20 kobiet i 22 noworodki przeznaczane na sprzedaż do Europy. (FAZ, 22. 01.)

LONDYN. Na dwudniowej sesji członkowie tzw. grupy Pompidou, w skład której wchodzi przedstawiciele 16 państw europejskich ustallili nowy, bardzo ostry plan walki z narkomania, obejmujący m. in. znaczne wzmocnienie kontroli granicznych i podwyższenie kar za handel narkotykami. (NZZ, 23. 01.)

BRUKSELA. 612 tys. ton pszenicy wysokiej jakości dostarczy RFN Związkowi Sowieckiemu; akcja subwencjonowana będzie przez fundusze EW. (24. 01.)

CUMMING. 25. 01 br. odbyła się w stanie Georgia (USA) demonstracja antyrasistowska, w której wzięło udział 20 tys. osób; wśród organizatorów marszu była wdowa po Martinie Lutherze Kingu. (Frankfurter Rundschau, 26. 01.)

PRAGA. Jak doniosło „Rude Pravo” AIDS doszedł właśnie do Czechosłowacji, gdzie w ub. roku odnotowano cztery przypadki zachorowań; w ČSRs istnieją obecnie dwa laboratoria wykonujące badania chorych na AIDS, a do końca br. zostaną one powołane w każdym większym mieście regionalnym. (FAZ, 26. 01.)

MOSKWA. Z uwagi na zbyt wysoki stopień zanieczyszczenia środowiska zamknięto w ZSSR położoną nad Jeziorem Bajkał fabrykę celulozy. (FAZ, 26. 01.)

GENEWA. W związku z ogłoszeniem przez ONZ roku 1987 „rokiem bezdomnych” biuro prasowe tej organizacji podało informacje, że codziennie w krajach Trzeciego Świata z powodu braku dachu nad głową umiera 50 osób. (Tagesspiegel, 20. 01.)

*JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM *

LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'île — 75004 Paris, France
Metro: Pont Marie Tel 43-26-51-09
polecia swoje wydawnictwa

	Cena franków fr.
BARAŃCZAK SŁ. „Czytelnik ubeczkowski” —	
Perswazja o masowej kulturze literackiej PRL	55.00
CASTEX-SUPER. „Wypisy i studia z literatury	
łacińskiej XX wieku”	20.00
CZARNYSEWICZ FI. „Łasy pasierb” — powieść o pionierach	
powojennej emigracji do Argentyny	40.00
KERSTEN K. „Narodzinny systemu władzy” —	
Polska 1943-1948.	120.00
KOMAR M. „Zneczenie” — od marksizmu do terroryzmu	95.00
KRALL Hanna. „Sublokatorka” — powieść autorki	
„Zdążyć przed Panem Bogiem”	65.00
MAJCHROWSKI J. „Geneza politycznych ugrupowań	
katolickich” — Stronictwo Pracy. Grupa „Dzisiaj i jutro”	69.00
PICON G. „Panonna myśli współczesnej” — wybór	
źródłowych tekstów ze wszystkich dziedzin nauki i sztuki	60.00
POPIELUSZKO J., ks. „Kazania patriotyczne. 1982-84.	95.00
PRZYBYLSKI R. „Wdzięczny gość Bogi” —	
esej o poezji Mandelsztama	50.00
ROMANOWICZOWA Z. „Baśka i Barbara” — opowiadania o	
narodzinach i wychowaniu polskiego dziecka na obczyźnie	65.00
SZCZEPAŃSKI Jan Józef. „Kapitan” — opowieść	55.00
ZIMAND R. „Dziennik Adama Czerniakowa” — próba lektury	25.00
plus przesyłka 10 %	

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Wielki dzień małych partii

Wszystko więc jest już jasne. Przez następne cztery lata władzę w RFN sprawować będzie dotychczasowa koalicja CDU/CSU/FDP. Socjaldemokraci i „Zieloni” pozostają w opozycji.

Takie może być najkrótsze podsumowanie tegorocznych wyborów parlamentarnych nad Renem.

Ostatnia ich faza była ciężka, nie tylko ze względu na zimę. U wszystkich dawalo się odczuć zmęczenie spowodowane długotrwałą kampanią wyborczą, zażartymi niekiedy sporami i dyskusjami między- i wewnątrzpartyjnymi. Przypatrując się rozgrywkom politycznym w Bonn jeszcze wczesną jesienią ub. roku można było mieć wrażenie, iż wybory są tuż tuż, a nie dopiero za kilka miesięcy. Czyż można się zatem dziwić, że w ostatniej, styczniowej ich fazie, zarówno politykom, jak i wyborcom zabrakło oddechu?

W obecnych wyborach uprawnionych do głosowania było 45 mln dorosłych obywateli RFN, z czego 24 mln stanowiły kobiety. Mieli oni zdecydować o podziale 496 miejsc w bońskim parlamencie. W toku oddzielnej procedury wynikającej ze specyficznego statusu miasta, do Bundestagu wyznaczeni zostali również posłowie z Berlina Zachodniego. Będzie ich w sumie 22, z tym, że mają oni w parlamencie ograniczone prawo głosu.

W wyborach parlamentarnych cztery lata temu podział głosów (i mandatów) wyglądał następująco — CDU/CSU 48,8 %, SPD 38,2 %, FDP 7 %, „Zieloni” 5,6 %. „Wielkie przemeblowanie” stało się wówczas faktem potwierdzonym głosami wyborców (FDP przeszła do koalicji z CDU w 1982 roku), SPD straciła władzę, CDU ją uzyskała, FDP — po zmianie koalicyjnego partnera — pozostała u steru.

Minione cztery lata miały być sprawdzianem dla nowej koalicji. Trudnemu egzaminowi poddani zostali zwłaszcza Wolni Demokraci, w których przejściu do obozu chrześcijańskiej demokracji wielu widziało koniec tej partii. Wiele też na to



J. Rau, H. Kohl: Straty po obu stronach

wskazywało. FDP z trudem walczyła o 5 % minimum zapewniające udział w sprawowaniu rządów, a ostatnie, przegrane przez tę partię wybory w Bawarii zdawały się przesądzać o jej losie. W styczniowej, najważniejszej próbie karta się odwróciła. Dla porządku jednak podajmy ostateczne wyniki tych tegorocznych wyborów: CDU/CSU 44,3 % głosów i 223 zdobyte mandaty, SPD 37,0 % (186), FDP 9,1 % (46) i „Zieloni” 8,3 % (42).

W porównaniu z wyborami w 1983 r. największe straty ponieśli chrześcijańscy demokraci, którzy zdobyli o 4,5 % głosów mniej (kosztowało ich to 21 mandatów) i jest to najgorszy wynik wyborczy tej partii od 1949 r. Mniejsze straty niż oczekiwano poniosła SPD (1,2 % i 7 mandatów), ale tak czy owak trudno tu dostrzec jakis bardziej pozytywny dla tej partii trend. FDP zdobyła w porównaniu do 1983 o 2,1 % głosów więcej (12 mandatów), podobnie jak „Zieloni” zwiększyli swój stan posiadania o 2,6 % uzyskując dodat-



J. von Dittfurth: Rok „Zielonych”

kowo 1 mandatów. Partia ta będzie jedyną reprezentacją w Bundestagu, w której większość będą miały kobiety.

Poprzedzająca wybory kampania koncentrowała się wokół dwóch haseł — wzrostu gospodarczego (CDU) i wskazywaniu zagrożeń społecznych płynących z polityki koalicji rządowej (SPD). W związku z tym polemika obejmowała takie szczegółowe problemy jak bezrobocie, finanse, kwestie podatkowe, sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego państwa, politykę zagraniczną, stosunek poszczególnych partii do problemu ochrony środowiska itd.

Wynik wyborów widziany z tej perspektywy stanowi dowód zaufania wyborców przede wszystkim do małych partii, FDP i „Zielonych”. Wprawdzie słusznie się podkreśla, że zwycięstwo dotychczasowej koalicji potwierdza zgodność kierunków jej działania z oczekiwaniami społeczeństwa, nie mniej sukces Wolnych Demokratów jest potwierdzeniem uznania wyborców dla zasady liberalizmu w polityce i życiu społecznym, jak również kontynuacji dotychczasowej polityki FDP w dziedzinie pokoju i odprężenia.

W tych dwóch kwestiach najostrożniejsza linia podziału biegła między FDP i CSU, która z czasem rozwinęła się w prawdziwą konfrontację zasady „więcej demokracji” z koncepcją „państwa policyjnego porządku”.

Miniony rok był rokiem „Zielonych”. Umocnienie się tej partii nastąpiło zwłaszcza po serii tragicznych dla środowiska naturalnego katastrof, wśród których największe obawy wzbudził wzbuch reaktora atomowego w Czernobylu i zatrue-

cie Renu. „Zieloni” są, jak dotąd, głównym problemem przede wszystkim dla SPD, gdyż, jak wskazują na to wyniki badań społecznych, szczególnie młodzi wyborcy przechodzą do „Zielonych” przede wszystkim z szeregów tej właśnie partii. W komentarzach podkreśla się, że program socjaldemokratów nie był atrakcyjny ani dla ludzi młodych, ani dla pokolenia średniego, ani dla osób zaawansowanych wiekiem. W tej sytuacji wymaga przemyślenia cała dotychczasowa strategia SPD, jej program, sprawy personalne itp. Ważny dla tej partii będzie z pewnością rok 1988, kiedy to prawdopodobnie nastąpi zmiana na stanowisku przewodniczącego partii. Już obecnie trwają spekulacje na temat następcy Brandta. Coraz dobitniej mówi się o zbliżającym się w związku z tym konflikcie, jako że jeden z kandydatów, Johannes Rau, reprezentuje centrowo-prawicowe skrzydło partii, zaś Oskar Lafontaine zdaje się przewodzić socjaldemokratycznej lewicy.



M. Bangemann: „karta się odwróciła”

Trudno obecnie przewidywać, jaki będzie po obecnych wyborach skład personalny przyszłego rządu, tym bardziej, że przywódcy poszczególnych partii na razie jak ognia unikają wszelkich wypowiedzi na ten temat. Wiele się w każdym razie chyba nie zmieni. Przed wyborami z największym zainteresowaniem oczekiwano odpowiedzi na pytanie, czy Franz Josef Strauss zasiądzie w bońskim gabinecie. Ponieważ ambi-

cje premiera Bawarii sięgają przynajmniej stanowiska ministra spraw wewnętrznych, po sukcesie wyborczym FDP wydaje się, że granice tego landu pozostaną dla Straussa nieprzekraczalne.

Dotychczasowa koalicja po uformowaniu rządowego gabinetu staje od razu w obliczu trudnych problemów. Choć w części z nich, np. sprawie reformy podatkowej panuje zbieżność poglądów, to nadal jeżeli chodzi o problemy wewnętrznego bezpieczeństwa państwa, polityki zagranicznej, prawa azylu panuje duża różnica zdań.

Generalnie z wypowiedzi polityków na temat wyniku wyborów przebijało zadowolenie. Kanclerz Kohl stwierdził, iż cel jego partii — zachowanie władzy — został osiągnięty. Znaczną utratę głosów uzasadnił niską frekwencją wyborczą, która osiągnęła niecałe 85 % oraz przekonaniami zwolenników CDU, iż wybory zostały przesądzone zanim się jeszcze odbyły. Przewodniczący SPD Brandt potwierdził słuszność programu swej partii oraz wybór Johanna Raua jako kandydata SPD na kanclerza. Politycy FDP Bangemann, Genscher i Lambsdorff wskazywali na to, iż

przejście tej partii do obozu chrześcijańskiej demokracji spowodowane względami gospodarczymi i problemami związanymi z bezpieczeństwem państwa okazało się słuszne. Wolni Demokraci są za kontynuacją dotychczasowej polityki w ramach koalicji z CDU i CSU. Przedstawiciele „Zielonych” w swych wystąpieniach wskazywali na sukces swej partii (60 % więcej zdobytych głosów w porównaniu z 1983 rokiem) potępił też „ignorancję i samozadowolenie CDU”. Jutta von Dittfurth uznała, iż wynik tegorocznych wyborów jest w istocie rzeczą „przejrzaną CDU/CSU w meczu nacjonalizmu przeciwko obokrajowcom, skrajnej prawicy przeciwko liberalizmowi”.

Wszyscy wypowiadający się, politycy, dziennikarze, komentatorzy byli zgodni co do jednego — odpowiedź na zasadnicze pytanie, kto będzie rządził w Bonn wprawdzie już znamy, nadchodzący dopiero jednak rok, w którym odbędą się wybory krajowe w Szlezewiku-Holsztynie, Nadrenii-Palatynacie, Hesji, Badenii-Wirtembergii i prawdopodobnie w Hamburgu zadecyduje o rzeczywistych kompetencjach tej władzy. ■

JULIUS H. SCHOEPS

Przeciwko kolcom narodowosocjalistycznego reżymu

Tomasz Mann i boński uniwersytet: zdarzenie, które przed 50-laty widniało w nagłówkach gazet. 19 grudnia 1936 odebrano pisarzowi tytuł doktora honoris causa, przyznany mu w 1919 r. przez Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Bonn. Sprawujący urząd dziekan zawiadomił w oschłym liście, który nie zawierał ani grzecznościowego zwrotu, ani formuły końcowej, iż: „W porozumieniu z rektorem uniwersytetu muszę Pana poinformować, że Wydział Filozoficzny czuje się zmuszony, po odebraniu Panu obywatelstwa, skreślić Pana z listy honorowych doktorów. W związku z tym w myśl § VIII naszego porządku promocyjnego wygasa Pańskie prawo do uzyskania tego tytułu”.

Odpowiedź Tomasza Manna obiegała cały świat. Ukazała się najpierw jako ulotka w styczniu 1937 r. w wydawnictwie Emila Oprechta w Zury-

chu, a później została przetłumaczona w Stanach Zjednoczonych, Francji, Anglii, Szwecji, Danii, Holandii, Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, Związku Sowieckim, Argentynie i Japonii. Zrozumiano ją jako ostry protest przeciwko narodowosocjalistycznemu reżymowi. Niektórzy porównywali nawet jej znaczenie z „J'accuse”¹ Emila Zoli.

Boński uniwersytet wystawił sobie niechlubne świadectwo. Profesorowie dali za wygraną i zachowali milczenie. Co mieli też do powiedzenia? Przecież już w roku 1933 opowiedzieli się po stronie „nowych” Niemiec. Nie protestowali

¹ J'accuse (franc. oskarżam) — nagłówek listu otwartego Emila Zoli wystosowanego w 1889 r. do prezydenta Francji w obronie niewinnie skazanego (1884 r.) na dożywotnie zesłanie na Wyspę Diabelską Alfreda Dreyfusa, kapitana sztabu generalnego armii francuskiej, z pochodzenia Żyda, którego niesłusznie posądzono o zdradę stanu.

wówczas przeciwko zarządzeniom, iż osoby pozbawione obywatelstwa, niegodne są używania tytułu doktorskiego wyższej uczelni niemieckiej. Wprost przeciwnie, germanista Karl Justus Obenauer, wspomniany już dziekan bońskiego Wydziału Filozoficznego, który po roku 1945 w obłudnych wyjaśnieniach usiłował wykręcić się od odpowiedzialności, ucieleśniał typ niemieckiego profesora uniwersyteckiego, bezwolnie usiłującego dopasować się do nowego reżymu i bez sprzeciwu czyniącego wszystko, co od niego żądano.

Odpowiedź, jakiej Tomasz Mann udzielił bońskim profesorom była głośnym policzkiem: „Czy niemiecki pisarz, przyzwyczajony poprzez język do odpowiedzialności (...) powinien milczeć, całkowicie milczeć wobec zła nie do odpokutowania, które codziennie w moim kraju było i jest wyrażane ciału, duszy i duchowi, prawdzie i prawu, ludziom i człowiekowi? (...) Uzmysłowanie sobie, kim są ci ludzie, którym dana jest załośnie zewnętrzna władza odebrania mi mojej ojczyzny, wystarcza, aby akt ten zobaczyć w całej jego śmieszności! Zwracając się przeciwko nim, miałem ponoć szkalować Rzeszę Niemiecką! Ludzie ci mają nieprawdopodobną czelność utożsamiania siebie z Niemcami! Przecież niedługo nadzieje ta chwila, kiedy naród niemiecki postawi wszystko na jedną szalę, aby nie zostać z nimi przez pomyłkę zmieszany. Boże, dopomóż naszemu posępnemu i pogwałconemu krajowi zarwać pokój ze światem i z samym sobą”.

Wydaje się, iż Tomasz Mann nie czuł się zbyt dotknięty odebraniem mu tytułu doktora honoris causa. Decyzję tę przyjął, jak przyjmuje się coś zesłanego przez los. Natomiast z oburzeniem zareagował na fakt, iż reżym 3 grudnia 1936 pozbawił go obywatelstwa – jego, pisarza cenionego na całym świecie, który był dumny z tego, że jest Niemcem. Był to cios o wiele bardziej dotkliwy, niż oportunistyczne zachowanie się bońskiego wydziału, o którym miał – zresztą tak, jak o niemieckich uniwersytetach w ogóle – niezbyt wysokie mniemanie. Wynika to wyraźnie z jego odpowiedzi, gdy pisze, iż radość z posiadania cofniętego właśnie akademickiego tytułu obrzydliła mu „ciężka współwina niemieckich uniwersytetów za obecne nieszczęście”.

Tomasza Manna spotkał ten sam los, co wcześniej niektórych innych polityków, pisarzy, publicystów i naukowców zrywających na emigracji, którzy na podstawie „prawa o cofnięciu przyzna-

nego obywatelstwa lub pozbawieniu niemieckiego obywatelstwa” zostali pozbawieni ojczyzny. Paragraf 2 uchwalonej przez Reichstag 14 lipca 1933 ustawy, która tego samego dnia weszła w życie, brzmiał: „Obywatele Rzeszy, przebywający za granicą, mogą zostać pozbawieni niemieckiego obywatelstwa, jeśli swoim zachowaniem naruszają obowiązek wierności wobec Rzeszy i narodu, szkodząc niemieckim interesom”.

Następnego dnia reżymowa „Vossische Zeitung” w ten sposób skomentowała nowe prawo: „Z posiadaniem obywatelstwa niemieckiego wiąże się nierozzerwalnie naczelny obowiązek wierności wobec Rzeszy i narodu. Rozliczni obywatele Rzeszy, którzy wyemigrowali lub uciekli za granicę, naruszają ten obowiązek wierności poprzez wspomaganie wrogiej Niemcom propagandy i próby ponizenia poczynań rządu narodowo-socjalistycznego. Elementy te, zdradzające ojczyznę mogą zostać za granicą tylko w ten sposób pociągnięte do odpowiedzialności, że wykluży się je z niemieckiej wspólnoty narodowej”.

Pierwsza lista osób pozbawionych obywatelstwa została opublikowana 25 sierpnia 1933 w „Reichsanzeiger” (Biuletyn Urzędowy III Rzeszy). Znalazły się na niej 33 nazwiska i to nie były jakieś osobistości. Ironiczna uwaga historyka Adolfa Leschnitzera, że chodziło tu raczej o rodzaj „patentu szlacheckiego”, nie pozbawiona jest racji.

Alfabetyczny spis nazwisk z datą urodzin był symboliczną wykładnią demokratycznych Niemiec. Czyta się je, jak fragment „Who’s who” z okresu Republiki Weimarskiej: Georg Bernhard, Rudolf Breitscheid, Lion Feuchtwanger, Ruth Fischer, Kurt R. Grossmann, Emil Gumbel, Alfred Kerr, Heinrich Mann, Wilhelm Meunzenberg, Wilhelm Pieck, Philipp Scheidemann, Leopold Schwarzschild, Ernst Toller, Kurt Tucholsky, Otto Wels.²

Koła emigracyjne zareagowały na ogłoszenie tej pierwszej listy pozbawionych obywatelstwa z wściekłością, gniewem i szysterstwem. Kurt R. Grossmann, były sekretarz generalny Niemieckiej Ligi Praw Człowieka pisze w swoich wspomnieniach, jak to 30 sierpnia 1933 w jednej z kawiarni w Pradze spotkał filozofa i pisarza Theodora Lessinga, który spontanicznie podniósł się ze swego

² Pierwsza lista obejmowała przywódców zdelegalizowanych partii politycznych, SPD – Breitscheida, KPD – Piecka oraz lewicujących pisarzy, m. in. Toller, Henryk Mann.

krzesła, chwycił go za rękę i powiedział: „Gratuluję Panu pozbawienia obywatelstwa. W istocie rzeczy jest to olbrzymi zaszczyt. Wstydę się, że o mnie zapomniano”. Grossmann odpowiedział trochę zażenowany: „Ależ Panie Profesorze, może Pan być pewien, że Hitler z pewnością i o Panu nie zapomni”. Jeszcze tego samego dnia okazało się, iż Grossmann miał rację. Lessing wrócił do willi Edelweiss w Marienbadzie³, gdzie siedząc przy biurku, zagłębiając się w pracy został zdradziecko zastrzelony przez otwarte okno. Śledztwo czeskiej policji wykazało, że nie chodziło tu o zwyczajne zabójstwo na tle rabunkowym, lecz o z góry przygotowany mord polityczny. Poszlaki prowadziły do Niemiec. Hitler rzeczywiście, tak jak to prorokował Grossmann, nie zapomniał o Lessingu.

30 sierpnia ukazał się też w praskiej popołudniówce artykuł Grossmanna, w którym komentuje on problem ekspatriacji w następujących słowach: „Ponieważ moim zachowaniem wyrokczyłem przeciwko obowiązkowi wierności wobec Rzeszy i narodu, szkodząc ponoć w ten sposób niemieckim interesom, zostałem pozbawiony obywatelstwa niemieckiego przez obecnie sprawujących władzę. Obowiązek wierności wobec Rzeszy i narodu? Czyż nie jest to umiłowanie prawdy, wypowiedzenie tego, co w istocie dzieje się? Czyż nie jest to walka o podstawowe prawa człowieka? Prawo do wolności, do godności ludzkiej? (...) Przyszłość dopiero pokaże, kto bardziej zaszkodził »interesom Rzeszy Niemieckiej«”.

Bezsilność wobec pozbawienia obywatelstwa, poczucie niemocy jest bardzo wyraźne w reakcji Henryka Manna i Kurta Tucholsky'ego. Oburzeni tym aktem chcieli odwołać się do Sądu Rozjemczego w Hadze — zamiar, który nie miał najmniejszych szans powodzenia, gdyż już wtedy sąd ten rozpatrywał wyłócznicze skargi rządów. Tucholsky, żyjący na emigracji w Szwecji, cierpiący z powodu tego, co działo się w Niemczech, dobrze wiedział, że nie ma żadnych środków przeciwko samowoli rządu Hitlera. Z rezygnacją pisał do swojego przyjaciela Kurta R. Grossmanna: „W sprawie pozbawienia mnie obywatelstwa nie podejmę na razie żadnych kroków”.

Akt ekspatriacji przez państwo narodowosocialistyczne miał dla niektórych osób przykre konsekwencje. W praktyce oznaczało to, że emigran-

ci z hitlerowskich Niemiec stawali się bezpaństwowcami. Dalo się to odczuć szczególnie wówczas, gdy kończyła się ważność ich paszportów. Nie mogli się udać do niemieckiej placówki dyplomatycznej w celu ich przedłużenia. Byli zmuszeni do życia bez ważnych dokumentów tożsamości, a więc niejako nielegalnie. Istniała wprawdzie możliwość otrzymania dokumentów zastępczych (paszport tymczasowy lub affidavit au lieu de passport), które w myśl międzynarodowego porozumienia wystawiane były przez kraj udzielający schronienia, lecz nie były one w pełni wartościowe.

Uzyskanie nowego obywatelstwa rozbijało się na ogół o stawiane wymogi. Łatwiej było tylko tym osobistościom — np. pisarzom i naukowcom — którzy znani byli poza granicami Niemiec. Stosunkowo łatwo mogli oni uzyskać obywatelstwo kraju, w którym mieszkali (np. Tomaszowi Mannowi i jego synom, Klausowi i Golo, zaproponowano przyjęcie obywatelstwa)⁴. Nie mieli oni też trudności w uzyskaniu prawa pobytu czy azylu politycznego.

Dla tych, którzy nie posiadali ani znanego nazwiska, ani stosunków czy też pieniędzy, pozbawienie obywatelstwa oznaczało status bezpaństwowca, nie gwarantujący ani ochrony, ani prawa pobytu w wybranym kraju. Zmuszało ich to do pełnienia roli petentów, którzy musieli wystawać w urzędach, aby doprosić się udzielenia prawa pobytu. Na ogół obowiązywała zasada: bez przynależności państwowej nie było prawa do opieki. Alfred Kantorowicz pisał, iż początkowo czuł się wyśmienicie, należąc do pierwszych stu „publicznych banitów”. Uczucie to jednak szybko minęło, gdyż „w istocie rzeczy okazało się, że poprzez ten akt administracyjny człowiek stawał poza nawiasem prawa”.

Urodzona w 1908 roku, a dziś żyjąca w Paryżu Charlotte Busch, przypomina sobie lata, kiedy po ucieczce z Niemiec hitlerowskich jesienią 1933 r., żyła najpierw legalnie, a potem ukrywając się we Włoszech. Opowiadała o ówczesnych kłopotach, o uciekaniu z jednej kryjówki do drugiej, o tym, iż życie w prowizorycznych warunkach stało się jej drugą naturą. Dokładnie nie przypomina już sobie, kiedy została pozbawiona obywatelstwa — czy był to rok 1937, czy 1938? Naprawdę był to rok 1940. Jej nazwisko figuruje

³ Mariánské Lázně, uzdrowisko w Czechosłowacji.

⁴ W roku 1944 Tomasz Mann przyjął obywatelstwo amerykańskie.

na liście 211-tej, pod numerem 280 w „Urzędowym Biuletynie Rzeszy”.

Charlotte Busch opowiada, iż pozbawienie jej obywatelstwa nic dla niej nie znaczyło, miała wówczas inne kłopoty. O wiele ważniejsze było znalezienie środków utrzymania. Twierdzi, iż miała szczęście, gdyż udało się jej otrzymać ceniony paszport nansenowski, który do dzisiaj posiada, i który legitymuje ją jako uciekiniera-bezpaństwowca. Skutki uboczne ekspatriacji karnej, jak w języku fachowym nazywano pozbawienie obywatelstwa, zagrażały egzystencji, gdyż osobom tym zajmowano lub konfiskowano cały majątek w ich rodzinnym kraju. Kto przebywał za granicą, musiał się pogodzić z tym, że nie posiadał żadnego prawa do własności w Niemczech. Charlotte Busch musiała z tego powodu stale poszukiwać pracy. Z wdzięcznością wspomina ona, iż jej, i niektórym innym uciekinierom udało się otrzymać płatną pracę w Bibliotece Watykańskiej w Rzymie.

Jak dzisiaj wiemy, narodowosocjalistycznemu reżymowi chodziło nie tylko o pozbawienie emigrantów obywatelstwa i odebranie im podstaw ekonomicznej egzystencji. Naziści chcieli poniżyć ich jako ludzi. Przedstawiano ich jako „wrogów narodu” i „szkodników”, których należy zwalczać wszelkimi dostępnymi środkami. Ich fotografie wywieszano publicznie w listach gończych. Kurt R. Grossmann przypomina sobie, iż w Klubie Niemieckim w Londynie widział plakat z podobiznami 33 pozbawionych obywatelstwa ogłoszonych w liście z 25 sierpnia 1933 r. Pod zdjęciami znajdował się duży i wyraźny napis: „Jeśli kogoś z nich spotkasz, zabij go!”.

Proces ekspatriacji nie zawsze przebiegał bez przeszkód. Były przypadki, które, przynajmniej początkowo, przysparzały reżymowi o ból głowy. Np. jak twierdzi historyk Michael Hepp na podstawie najnowszych badań, Gestapo i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych chciało umieścić nazwisko Alberta Einsteina na pierwszej liście. Zarezerwowano dla niego miejsce po Georgu Bernhardzie i Rudolfie Breitscheidzie. Jednakże Ministerstwo Spraw Zagranicznych złożyło odwołanie, gdyż obawiało się międzynarodowych protestów: „Przedstawiciele MSZ proponują, aby ze względu na międzynarodową sławę E. mimo, iż zarzuca mu się te same przestępstwa, jak innym na tej liście, nie pozbawiać go obywatelstwa, przynajmniej do czasu”.

Rozważania, czy ekspatriacja Alberta Einsteina jest korzystna czy nie, prowadzone były na najwyższym szczeblu. Minister spraw zagranicznych Rzeszy Konstantin von Neurath pisał 18 sierpnia 1933 do sekretarza stanu von Bülowa: „Tak, jak oświadczyłem to Panu już wczoraj przez telefon, wydaje mi się konieczne, by ze względu na międzynarodową pozycję prof. Einsteina postępować wobec niego zachowując pewne środki ostrożności, nawet jeśli na to nie zasłużył swoim zachowaniem wobec swej pierwotnej ojczyzny. Chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że nastawienie osobiście znanego mi prof. Einsteina (pochodzi z moich stron) już wcześniej nie było bez zarzutu i nie można mówić o jego wierności do starej ojczyzny”.

Opór MSZ wobec pozbawienia obywatelstwa Einsteina został złamany. Nazwisko jego, obok innych, równie znanych, znajduje się na liście nr 2 z 29 marca 1934. Wydaje się, że na zmianę nastawienia ministra spraw zagranicznych Rzeszy do sprawy Einsteina wpłynęło ogłoszenie tzw. „podatkowego listu gończego”, który dotyczył osób ściganych za „ucieczkę z obszaru Rzeszy przed podatkami”. Wpływ na sprawę genialnego fizyka miało z pewnością również stanowisko ministra spraw wewnętrznych Fricka, wyrażone w liście z 7 grudnia 1933: „Ze względu na szczególnie obrzydliwą i wyzywającą propagandę, którą Einstein prowadzi wobec narodowosocjalistycznego rządu, uważam nadal za słuszne wykluczenie go ze wspólnoty narodowej. (...) Właśnie ze względu na sławę, jaką cieszy się za granicą, uważam jego szczułą wypowiedzi za szczególnie niedopuszczalne”.

O ile jeszcze na początku MSZ usiłowało blokować narodowosocjalistyczną politykę pozbawiania obywatelstwa, to z biegiem lat nastawienie to uległo całkowitej zmianie. Przeciwnicy reżymu zostali usunięci, urząd przy Wilhelmstrasse⁶ stawał się coraz bardziej pomocny w realizowaniu polityki narodowosocjalistycznej. Szczególnie po objęciu stanowiska przez Joachima von Ribbentropa upadły wszelkie zastrzeżenia. Nie zwracano się już więcej z listami-proponycjami do MSW „z prośbą o zajęcie stanowiska”. Ambasada w Paryżu posunęła się nawet tak daleko, iż w październiku 1940 r. zaproponowała „kolektywne pozbawienie obywatelstwa” wszystkich uciekinierów, którzy przebywali na te-

⁶ Ulica w Berlinie, przy której znajdowały się siedziby większości ministerstw, w tym również MSZ.

renie okupowanej części Francji i rozpoczęła sporządzanie odpowiednich list. SD było tym tak zirytwane, iż złożyło skargę w MSZ. Z treści listu wynikało, iż SD nie życzy sobie mieszania się w jej sprawy, gdyż „objęcie listami” jest zadaniem, które „podlega wyłącznie placówkom służbowym policji bezpieczeństwa i SD na okupowanych terenach Francji”.

Biorąc za podstawę obliczeń zarówno zwykle, jak i nadzwyczajne listy ogłoszone w „Biuletynie Rzeszy” okazuje się, iż między 25 sierpnia 1933, a 7 kwietnia 1945 pozbawionych obywatelstwa zostało 39 006 Niemców. Początkowo o wszczęciu postępowania decydowały głównie przyczyny polityczne. Z biegiem czasu zastępowały je coraz częściej względy rasowe, seksualne, dewizowe czy podatkowe, którymi usprawiedliwiano ten rodzaj ekspatriacji. Kiedy reżym zdał sobie sprawę, że nie wygra wojny, chodziło mu już tylko o to, aby zniszczyć swych wrogów. Himmler i podległa mu SS w coraz większym stopniu przejmował w swoje ręce sprawy pozbawiania obywatelstwa. Przyjęto zasadę „odpowiedzialności rodowej”, w myśl której ekspatriacja mogła rozciągać się na małżonków, ślubne, adoptowane i nieślubne dzieci. Podlegały jej nawet niemowlęta. Im bliższy był koniec reżymu, tym bezwzględniejsze stosował on metody. Urzędnikom było obojętne, co wpisywali do akt w uzasadnieniu pozbawienia obywatelstwa. Raz był to homoseksualizm czy wolnomularstwo, innym razem przemysł i spekulacja.

Szczytowym punktem owej polityki było 11-te rozporządzenie uzupełniające do kodeksu cywilnego Rzeszy z 25 listopada 1941 r. W myśl tego rozporządzenia za jednym zamachem, kolektywnie zostali pozbawieni obywatelstwa niemieckiego Żydzi (około 240 tys.), którzy z Rzeszy wymigrowali. W ten sposób państwo narodowo-socjalistyczne stworzyło formalno-prawne przesłanki dla „ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego” i zajęcia lub konfiskaty majątku będącego własnością Żydów. Jak zauważa znawca tego zagadnienia, Hans Georg Lehmann — „nie tylko żydowscy emigranci, którzy uciekli przed narodowosocjalistycznymi prześladowaniami stracili automatycznie obywatelstwo i majątek, lecz również ci Żydzi, którzy zostali deportowani i zamordowani w obozach koncentracyjnych poza granicami Rzeszy, (...) gdyż jako bezpaństwowcy mogli pod płaszczykiem legalności zostać wyłączeni”.

Po zakończeniu wojny pozbawieni obywatelstwa uchodźcy stanęli przed problemem, czy mają wrócić do Niemiec, czy nie. Większość żydowskich uchodźców nie zdecydowała się na to. Odmawiali powrotu do kraju, który ich wypędził i wymordował ich krewnych. A oto typowe przykłady ich wypowiedzi: „Po komorach gazowych powrót mój był niemożliwy”, lub „Powrót do Niemiec, które zabiły całą moją rodzinę, a mnie pozbawiły oficjalnie obywatelstwa, był naturalnie absolutnie wykluczony”.

Wielu z nich obawiało się powrotu do Niemiec. Byli już obywatelami krajów, które udzieliły im schronienia. Niemcy były tylko wspomnieniem, krajem młodości. Niektórzy wrócili, ale musieli stwierdzić, iż był to „powrót do obczyzny” (Hans Mayer). Inni, jak np. Tomasz Mann, który nigdy nie mógł się na taki powrót zdecydować, woleli mieszkać poza granicami Niemiec. Pisarz kazał sobie zresztą z powrotem nadać tytuł doktora honoris causa uniwersytetu w Bonn, lecz był to akt, który pozbawił go sympatii wielu emigrantów. Krok ten był dla niego dość typowy, gdyż Mann żywił do powojennych Niemiec uczucia dość ambivalentne.

Niektórzy wszakże, choć nie było to dla nich łatwe, wrócili do powojennych Niemiec, pełni nadziei i chęci pomocy w odbudowie demokratycznych Niemiec. Wielu z nich musiało jednak z rozczarowaniem stwierdzić, iż drzwi przed nimi były zamknięte. Nie przejawiano zainteresowania współpracą z nimi. Ze szczególną nieufnością traktowano tych — w tym i Tomasza Manna — którzy reprezentowali polityczną filozofię „new deal” Franklina D. Roosevelta i głosili wizję demokratycznych Niemiec o socjalistycznym zabarwieniu. Zgorzkniały Hans Henny Jahnn⁶ pisze w jednym z listów w sierpniu 1949 r.: „Nie nawiązałem kontaktów w Niemczech, tkwiąc w wielkich kłopotach materialnych i jestem głęboko rozczarowany tym, że niektórzy z moich dawnych znajomych, będący dzisiaj politycznymi wielkościami, zupełnie nie zwracają na mnie uwagi, lub są tak zajęci sobą, że życie duchowe i ich przedstawiciele są im zupełnie obojętni”.

Pouczająca jest antologia Hermanna Kestnera z 1964 r. pt. „Nie żyję w RFN”, w której dawni uciekinierzy opowiadają o swoich doświadczeniach. Ludwig Marcuse, Oskar Maria Graf, Erich Fried, Hans Habe, Richard Huelsenbeck, Walter

⁶ Pisarz, muzykolog oraz znany pacyfista.

Mehring, Manes Sperber, Max Tau i Carl Zuckmayer przynajmniej się wprawdzie do niemieckiego języka i kultury, usiłują jednak wytłumaczyć, dlaczego byłoby dla nich ciężkie lub niemożliwe zamieszkanie w zachodniej części Niemiec. W wypowiedziach przebiega uczucie napotkanej tam obcości, nieprzynależności, a często i strachu. Oskar Maria Graf, który pozostał w Stanach Zjednoczonych, wskazuje na neonazizm oraz mówi o wstręcie, jaki budzi w nim „przebudzenie się ciasnej, prowincjonalnej chępliwości niemiecką zaradnością”, idącej w parze z „drobnomieszczańsko-nihilistycznym, konsumpcyjnym stylem życia”.

Tylko w strefie sowieckiej, a późniejszej NRD sprzyjano powrotom uciekinierów. Emigranci-komuniści, lub ci, którzy chcieli odbudowy „socjalistycznego społeczeństwa”, od samego początku należeli do państwowej elity. Natomiast w strefach zachodnich nie przejawiano zainteresowania ich powrotem. Wprawdzie odezwa prezydentów poszczególnych krajów z 7 maja 1947 r. wzywała do powrotu wszystkich Niemców, którzy „poprzez narodowy socjalizm zostali wypędzeni ze swej ojczyzny”, aby wzięli udział w budowaniu „lepszego Niemiec”, jednakże nie odpowiadało to ogólnemu nastrojowi w społeczeństwie, które było przeciwko powrotowi emigrantów.

Antykomunizm i zimna wojna stworzyły taki klimat, iż repatriacja do stref zachodnich, a potem do RFN obserwowana była z niechęcią i niedowierzaniem. Wciąż dawali o sobie znać uprzedzenia wpojone w okresie rządów hitlerowskich. Emigranci, którzy posiadali antyfaszystowską przeszłość byli pomawiani i wyszydzani jako „bezobjęznie towarzysstwo”. Np. Willy Brandt, który po odebraniu mu obywatelstwa niemieckiego przyjął obywatelstwo Norwegii, „przez wiele lat nosił znamię zdraycy ojczyzny i narodu” (Hans Georg Lehmann). Jeszcze przed wyborami, jako kandydat na stanowisko kanclerza z ramienia SPD miał stawiać czoło takim zarzutom. Franz Josef Strauss postawił w Vilshofen 15 lutego 1961 r. retoryczne pytanie: „O jedno wolno chyba Pana Brandta zapytać: co robił przez 12 lat na obczyźnie? My wiemy, co myśmy tutaj robili”. Ludwig Erhard obwieszczał zaś przy najróżniejszych okazjach, że pracował już nad planami reformy pieniężnej, kiedy „Brandt nie stał się jeszcze ponownie obywatelem niemieckim”.

Zakrawa to na skandal, jak Republika Federalna w pierwszych latach swego istnienia obcho-

dziła się z politycznymi emigrantami. Przepisy ponownego uzyskania obywatelstwa wzbudzały poważne wątpliwości. Wielokrotnie utrudniały one repatriację uciekinierom, którym udało się ująć przed prześladowaniami narodowosocjalistycznej władzy. Najłatwiej mieli ci, którzy po 8 maja 1945 zamieszkali na stałe w kraju. Wobec nich zastosowano art. 116 ustęp 2 Ustawy Zasadniczej, który stwierdza, iż pozbawieni obywatelstwa przez narodowosocjalistyczny reżym oraz ich potomkowie uchodzą za „niepozbawionych obywatelstwa, o ile zamieszkali po 8 maja 1945 w Niemczech i nie dali wyrazu przeciwnej woli”.

Zupełnie inaczej rzecz miała się z tymi, którzy pozostali za granicą, a którzy po tym wszystkim, co przeżyli, nie byli w stanie wrócić do powojennych Niemiec, tak, jak gdyby nic się nie stało. Jeśli chcieli stać się obywatelami niemieckimi, musieli – i wciąż jeszcze muszą – złożyć odpowiednie podanie.

Przez wiele lat praktyka postępowania urzędów wyglądała tak, iż pozbawienie obywatelstwa przez rząd narodowosocjalistyczny wielokrotnie uważane było za prawomocne. Urząd często zastrzegał sobie „cofnięcie pozbawienia obywatelstwa dopiero wówczas, jeśli ofiara narodowego socjalizmu nie tylko złożyła odpowiednie podanie, lecz spełniła równocześnie warunki do złożenia takiego podania” (Hans Georg Lehmann). W ten sposób ofiary dawnego reżymu ponownie zostały sprowadzone do roli petentów, składających podania i konfrontowanych z pytaniami pełnymi szykan zadawanymi przez urzędników, co do których można było przypuszczać, iż nieco wcześniej dokonywali tych samych czynności, lecz o biegunowo przeciwnym znaczeniu.

Wielu też zrezygnowało ze składania podań o repatriację. Nie chcieli prosić o coś, co im bezprawnie odebrano. Gdyby np. oficjalnie, w przemówieniu prezydenta Republiki przed parlamentem, zostali poproszeni o powrót, to wielu emigrantów złożyłoby chyba takie podanie. Charlotte Busch, która od 46 lat jest bezpaństwowcem, przynajmniej z goryczą: „Nikt nie występował z takim zaproszeniem. Gdyby to zrobiono, wówczas chyba zdecydowałabym się na powrót do Niemiec. Ale tak, było to niemożliwe”.

Klasycznym przykładem jest tu również pisarz Erich Maria Remarque, którego 7 czerwca 1938 r. pozbawiono obywatelstwa. Od roku 1947

posiadał obywatelstwo amerykańskie, chciał jednak po powstaniu Republiki Federalnej Niemiec odzyskać obywatelstwo niemieckie. Zdecydowanie jednak odmawiał złożenia „prośby o ponowne przyznanie” zrabowanej mu państwowości. Nie mógł zrozumieć, dlaczego RFN nie zdjęła z niego „nazistowskiej klątwy”, i „banicji z Rzeszy”. Jeszcze krótko przed śmiercią skarżył się, iż „Niemcy

przez 20 lat nie były zdolne przywrócić mu obywatelstwa”.

W historii Republiki Federalnej Niemiec nie jest to rozdział, który mógłby przynieść temu państwu sławę.

(Za: *Frankfurter Allgemeine Magazin*)
tłum. A. Knuff

ANNA OSTROWSKA

Moja hipoteka

Kwidziń, 14 sierpnia 1982, obóz dla internowanych

Sam nie wiem, jak to się stało. Od kiedy narastał we mnie ten sprzeciw, który doprowadził do odmowy wykonania rozkazu? Trudno powiedzieć. Moje nastawienie do władzy od dawna było krytyczne. Ale nie w tym stopniu. Może dopiero w czasach „Solidarności” coś mi się ostatecznie porządkowało w głowie. Raczej uporządkowało.

W każdym razie na pewno kiedyś byłem zwolennikiem socjalizmu. Zapisalem się do partii, choć nikt mnie do tego nie namawiał. Przeciwnie, komendant opóźniał moje wstąpienie w szeregi, jak mógł. Nie chciał, żebym mu patrzył na ręce. Poczynilem kiedyś uwagę o autokratycznym sposobie bycia, choć byłem wówczas tylko starszym strażakiem. Kandydowałem do partii dwa lata, zanim mnie przyjęli.

Myślałem: jeśli porządni ludzie zaczną wstępować do partii, to partia się zmieni.

Dziś już tak nie uważam i dlatego po 13 grudnia oddałem legitymację. Egzekutywa przeprowadziła ze mną rozmowę stwierdzając, że jestem elementem kontrrewolucyjnym.

Pomimo to nadal pełniłem funkcję zastępcy komendanta straży w Kwidzynie.

Siedzimy przy stole. Matka włączyła radio. Wprawdzie sąsiad za ścianą jest trochę głuchawy, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Posłała go za młodu do technikum leśnego. Przyszłość syna rysowała się jej na tle leśnych

pejzaży, w zdrowym powietrzu, wolności i ciszy wiejskiego życia.

Nie przystał na to. Po ukończeniu technikum leśnego przeniósł się do szkoły pozarniczej. Lubił niebezpieczeństwo, błyskawiczne akcje, decyzje podejmowane w ciągu sekundy i tę satysfakcję, że się ratuje ludzi. Związków służby ratowniczej z resortem MSW nie traktował poważnie. Podobnie jak i jego koledzy. Wydawało im się wówczas, że straż pożarna jest formacją ponadustrojową. Co prawda, w grudniu 1970 roku oficer dyżurny straży pożarnej w Gdańsku został ciężko pobity za to, że nie dojechał do płonącego gmachu Komitetu Wojewódzkiego. Nie dojechał, bo ludzie go zatrzymali, a on nie chciał przebić się przez tłum za cenę ofiar. Więc sam stał się ofiarą, milicja zmasakrowała go tak, że przeszedł na rentę.

Roman Gałuch, starszy strażak z Kwidzyna wiedział o tym wszystkim. Ale w tamtych czasach podobne wydarzenia nie układały mu się w logiczną całość. Traktował je incydentalnie pozostając wierny zasadzie, że strażak nie boi się ani wysokości, ani zdarzeń.

Na przykre wydarzenia uodpornił się z biegiem lat. Widok poparzonych ludzi, śmierć dzieci w płomieniach — takie sprawy traktował profesjonalnie.

Nie jestem człowiekiem spokojnym, raczej cholerykiem. Raz jednego chłopca mało nie rozszarpałem, bo podczas gaszenia ognia w jego

stodołę natknęliśmy się na ukryte w sianie butelki z etylną. Pal sześć stodołę, ale spójrz na tych ludzi... — wskazałem strażaków.

Takie rzeczy irytowały. Ale do pożarów podchodziłem z zimną krwią. Czy w przeciwnym wypadku mógłbym po pionowej drabinie wejść na rozżarzony komin, żeby dostać się do wężu? U nas jest zwyczaj, że najtrudniejsze zadania szef wykonuje sam. Powiedziałem więc chłopakom, żeby mi schładzali sikawkami kilkunastometrowy, najtrudniejszy odcinek drogi. — Tylko, żeby mi żaden otwór w sikawkach nie wysiadł — rozkazałem surowo. I przeszedłem. Dostałem wtedy pochwałę od komendanta, dwóch poborowych awansowało o jedną belkę wyżej.

Nie boję się. Tego lęku podczas wycieczki w nieznaną — nigdy nie odczuwam. Wierzę w przeznaczenie. Jeśli komuś pisane jest zginąć właśnie dziś, to gdziekolwiek się znajdzie... Pod tym względem stan wojenny nic we mnie nie zmienił. Strach przed władzą jest mi obcy, tak samo, jak strach przed pożarem.

Byłem działaczem partyjnym, członkiem Komitetu Miejskiego. Uważano mnie za człowieka rozwojowego. Prowadziłem szkolenia przeciwpożarowe w zakładach pracy. Partia miała do mnie zaufanie. W roku 1975 Komitet Powiatowy wytypował mnie do WSNS w Warszawie. Z początku zgodziłem się. Ale na komisji rekrutacyjnej w Elblągu spytałem, za ile się w tej branży pracuje? Bo ja nie jestem harcerzem. Z kolei oni mnie zapytali, czy w ramach dyspozycyjności przedniósłbym się po ukończeniu studiów do innego miasta? I to mnie zraziło. Dyspozycyjny jestem całe życie — nawet wyjeżdżając na weekend muszę meldować się komendantowi straży — ale nie do tego stopnia, żeby opuszczać dom. Zrezygnowałem z tych studiów.

Byłem działaczem, ale coraz więcej rzeczy nie podobało mi się. Nie tyle wielkie wydarzenia wywierały wpływ na moją świadomość, co przyziemne rażące nonsensy.

Pamiętam w '76 roku pożar w Ogrodzieńcu. Paliła się chlewnia i obora. Akcja była poważna, upał straszny. Już przed nami wysłano jedną ekipę — nie zdołała ugasić ognia. Męczymy się którąś godzinę, wtem przychodzi do mnie kilku strażaków i mówią, że właśnie otrzymali telefon z Komitetu Miejskiego — muszą natychmiast jechać na wiec popierający. Chodziło o popieranie władzy w związku z wypadkami w Radomiu.

Ostupałem. Mówię do nich: chłopcy, wy tu macie front między chlewnią a oborą. Nigdzie nie pojedziecie. Za pół godziny pojawili się towarzysze z Komitetu Miejskiego. Powiedziałem: ja się mogę z akcji wycofać, proszę weźcie sikawki i gaście pożar. Spojrzeli na mnie z góry i odeszli. Ale kilku strażaków zdołali zastraszyć i wysłać na ten wiec.

Farsa. Człowiek się śmiał. Jak następnego dnia otrzymałem upomnienie od komendanta, też się śmiałem. Zresztą komendant mrużył oko. Wiedział, że miałem w Ogrodzieńcu rację i raczej zasługuję na pochwałę. Ale musiał wykazać się przed zwierzchnikami. Też się śmiał. Wszyscy się śmiali. Ale każdy miał poczucie, że uczestniczy w czymś głupim.

Jechałem kiedyś szosą. Za Miłosną, na skrzyżowaniu dróg, patrzę, powóz stoi. Prawdziwy powóz, jak z filmu, a koło niego kilku dobrze mi znanych działaczy partyjnych z Kwidzyna. Zatrzymałem się. Podchodzę do nich i mówię: co wy tu robicie za komedie? A oni na to: sekretarz z Elbląga ma przyjechać i my go na wieś odwozimy bryczką. Uśmiałem się wtedy. Z nich przecież, z tych samych ludzi, których niby powinienem szanować.

Albo wizyta Gierka w Kwidzynie. Przyjechał na spotkanie z rolnikami. To był cyrk! Milicja ubezpieczała teren, kordony taniaków. Ludzie opowiadali, że jak Gierek szedł do WC, to najpierw wchodził tam człowiek z ochrony, a gdy Gierek wychodził po spotkaniu z gmachu to podali mu płaszcz ochroniarza, a ochroniarzowi jego płaszcz, w razie gdyby dywersant włożył mu coś do kieszeni. Tak strasznie bali się narodu. Doprawdy śmieszne było to wszystko.

Ale przecież człowiek nie chce ze swojego życia robić komedii. Jeśli już miałbym grać rolę wesołka, to w lepszej sztuce. Ta była smutna. Poniżała nas. I dlatego rodził się sprzeciw. Gdy razu pewnego wezwał mnie sekretarz Komitetu Miejskiego — człowiek o mentalności narcyza, z lokiem na boku, stale był tym lokiem zajęty zaczepiając go ręką — i wyłożył mi plik protokołów z zebrań partyjnych prosząc, abym powkładał je do odpowiednich teczek, wścieklem się. — Wam za coś płacą — powiedziałem — dokumenty do teczek możecie sobie powkładać sami. I jeszcze dodałem: nie angażujcie mojego prywatnego czasu, bo zostałem wezwany po południu. Oczywiście sekretarz nie zauważył mnie potem aż do końca swojej kadencji. Po sierpniu odszedł.

Sierpień powitałem z wielkim zaciekawieniem i radością. Życzyłem stocznicom powodzenia. A gdy wszystko się wówczas szczęśliwie zakończyło przystąpiliśmy do organizowania „Solidarności” w straży pożarnej, jako pierwsi strażacy w kraju, czego do dziś nie mogą nam miejscowe władze wybaczyć. Do „Solidarności” należeli u nas wszyscy. Nawet komendant się zapisał. Żał mi go. Zdecydował się biedak dopiero w listopadzie '81 roku. I po co mu to było? W naszych oczach nie zdążył dobrze wypaść, a już władza miała do niego pretensję. Niektórzy ludzie są jak zła orkiestra. Całe życie fałszują.

Na przewodniczącego komisji zakładowej nie dałem się wybrać. Nie chciałem, żeby o mnie ktoś powiedział: szykuje się do następnej kariery. Pozostałem sekretarzem komisji zakładowej. W czerwcu '81 wybrany zostałem także do Komitetu Wojewódzkiego. Odnowa w partii miała u nas charakter walki ze starą kliką. Występowałem w tej sprawie ostro, co mi towarzysze dobrze zapamiętali. Jednocześnie jako solidarnościowiec walczyłem o odpolitycznienie jednostek straży pożarnej. Po sierpniu byliśmy świadomi naszej zależności od MSW. Gdy w Warszawie odbywał się strajk w Oficerskiej Szkole Przeciwpożarowej wysłaliśmy do MSW bardzo ostry list, w którym napisaliśmy, że nawet w okresie okupacji służba przeciwpożarowa nie była tak dyskryminowana jak obecnie. Komendant dostał za nas po uszach. Powiedział potem, żeby konsultować z nim wystąpienia do władz, bo takie sytuacje szkodzą jego zdrowiu.

Ubiegaliśmy się także o przywrócenie święta strażaka 4 maja, w dniu św. Floriana, naszego patrona. Na pogrzeb prymasa pojechała liczna delegacja z Kwidzyna. Niektórzy do dziś mają przykrość za to, że nieśli trumnę Wyszyńskiego.

WW czerwcu '81 roku powołano w straży pożarnej rezerwy zmilitaryzowaną. Prowadziłem szkolenie dla rezerwistów, na które zaprosiłem Sokołowskiego, barda ludowego, znanego z festiwalu piosenki prawdziwej w Gdańsku. Śpiewał piosenki antyrządzieckie. Komendant wezwał mnie na rozmowę. Powiedziałem, że Sokołowski występował również w telewizji. Dla strażaków wybrał sobie akurat taki repertuar. Nie mogłem się do tego wtrącać.

Powoli zdawałem sobie sprawę, że sytuacja zaostrza się. Na początku grudnia powiedziałem nawet kolegom: zobaczycie, pewnego dnia obudzimy się w innym świecie. Muszę jednak przy-

znać, że przewidywania moje szły w dwu kierunkach. Brałem pod uwagę możliwość zlikwidowania „Solidarności”, ale i odwrotnie — wierzyłem w szturm na Bastylię. 13 grudnia usłyszałem przez ścianę głos Jaruzelskiego. Powiedziałem do żony: włącz radio, bo sekretarz grzmi.

Wkrótce skoszarowali nas. Dopiero 10 stycznia wróciliśmy do domów. Czulem się zadowolony tym, że po 13 grudnia nie wybuchł strajk generalny w całej Polsce. Byłem rozczarowany nieumiejętnością przewidywania. W moim zawodzie trzeba umieć dostrzegać zblizające się zagrożenie. Pod tym względem „Solidarność” nie wykazała się.

Wróciliśmy do pracy. Weryfikacji nie było. Przez kilka następnych miesięcy wydarzył się w moim życiu tylko jeden drobny incydent. Chłopi ze wsi pod Kwidzynie zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc w zorganizowaniu uroczystości święcenia sztandaru ochotniczej straży pożarnej. Doradzałem, że najlepiej sztandar poświęcić w dniu 4 maja, patrona strażaków i poszedłem do księdza zapytać, jaka jest liturgia takiej uroczystości. Inicjatywa chłopów wzbudziła tymczasem wielkie niezadowolenie władz. O mnie oprawocono scenariusz święcenia sztandaru. Nic sobie z tych uwag nie robiłem. Uroczystość podczas mszy świętej jednak nie odbyła się. Sztandar poświęcono cichcem w zakrystii, 30 kwietnia, chłopię przestraszyli, o co zresztą po dziś dzień mają do siebie pretensję.

Poza tym aż do sierpnia panowała cisza.

Najważniejszym dniem w moim życiu był 14 sierpnia 1982 roku. Rano przeprowadziłem kontrolę straży pożarnej w zakładach celulozy. Po powrocie do komendy otrzymałem wiadomość, że natychmiast mam jechać do obozu internowanych, którzy usiłują wywołać pożar. Dwoma wozami strażackimi udaliśmy się wraz z grupą młodych strażaków na miejsce. Pod obozem stał około 100-osobowy tłum — rodziny internowanych, których tego dnia nie wpuszczono na widzenie. Dzieci, starcy i ludzie w średnim wieku. Kazano im wszystkim opuścić teren obozu. Było to zarządzenie nowego komendanta. Internowani wyrazili swoje oburzenie robiąc tzw. kocią muzykę. Wtedy wezwano jednostki milicji obozowej, a także nas.

Gdy zatrzymaliśmy się przed bramą obozu z tłumem wyrwały się okrzyki: skurwysyny, przyjechaliście oblewać wodą nasze dzieci, pacholki

boleszewickie! Musiałem znieść wszystkie wyzwiska i spokojnie przejść przez szpaler wrzeszczących ludzi. Rozumiałem ich, ale było mi bardzo nieprzyjemnie. Już wtedy wiedziałem, że nie uczynię tego, czego za chwilę zażąda ode mnie komendant.

W gabinecie komendanta kłębiła się attanda obozowa. Nowy komendant, autor dzisiejszego zarządzenia był sztywny i spokojny, natomiast były komendant, również tu obecny, miotał się po pokoju krzycząc bez sensu: Słyszycie? Śpiewają pieśni religijne. To zły znak. Będzie niedobrze.

Zapytałem: Czy są przypadki podpaleni?

– Nie.

– A czy są realne przygotowania do podpaleni?

– Nie.

– To po co zostaliśmy wezwani?

– No, bo mogą być podpalenia.

Napomknąłem, że nasz wóz strażacki jest jedyny w mieście i gdyby zdarzył się jakiś wypadek...

– Postójcie za bramą – przerwał mi komendant – zobaczymy co będzie dalej.

Gdy wychodziłem z gabinetu komendanta internowani śpiewali „Boże coś Polskę” i skandowali: wpuście rodziny.

Za bramą powiedziałem moim chłopakom: obowiązuje was maksymalna dyscyplina. Wykonujecie wyłącznie moje rozkazy. Zapamiętać!

Rodziny internowanych w dalszym ciągu okładały nas wyzwiskami. Taki starszy jegomość stał niedaleko mnie. Powiedziałem: panie, gdybyście wiedzieli, co my myślimy, to byście tak nie mówili. Trochę jakoś zrobiło mu się głupio. Zwrócił się do ludzi i zaczął ich uspokajać.

Usiadłem w wozie i obserwowałem co się dzieje. Suka policyjna kursowała bez przerwy przywożąc coraz to nowe posiłki. W pewnym momencie usłyszałem warkot agregatu wysokoprężnego włączanego na terenie obozu. Oho, pomyślałem, chęć zagłuszyć to, co dzieje się w obozie. Coraz lepiej.

Wtem podchodzi do mnie komendant obozowego MO i mówi: macie wjechać na teren obozu.

– Jest pożar? – zapytałem.

– Nie.

– No, to nie wjadę. Muszę zresztą zapytać moich zwierzchników, czy pan w ogóle ma prawo wydawać mi polecenia.

– Pytaj pan.

Zadzwońnię radiotelefonem do Komendy Wojewódzkiej w Elblągu. Dowiedziałem się, że żaden milicjant obozowy nie ma prawa mną dysponować. Obowiązują mnie natomiast polecenia Hajduka, zastępcy komendanta Komendy Wojewódzkiej MO.

Siedzę więc dalej. Nagle patrzę, że samochód straży pożarnej stojący obok mnie rusza w kierunku obozu. Milicja zakrzywała chłopaków. Wskoczyłem z wozu i zawróciłem samochód ostro rugając moich strażaków: jeżeli będziecie niesubordynowani podam was do aresztu! Samochód wraca. Cała ta przepychanka na oczach ludzi. W tłumie rozlega się śmiech. Milicjanci wściekli.

Po niedługiej chwili zameldowali mi, że tego, czego oni domagają się ode mnie, domaga się również Hajduk. Jeszcze raz zadzwoniłem do moich zwierzchników. Miałem nadzieję, że może ktoś z nich podzieli się ze mną odpowiedzialnością. Ale na to jest zawsze najmniej chętnych. W trudnych sytuacjach człowiek na ogół jest sam. Usłyszałem – rozkaz Hajduka jest obowiązujący.

Gałuch wjechał na teren obozu.

Miejscowa straż stała już z hydrantami na dziedzińcu. Strażnicy wpychali internowanych do pawilonów. Jakiś człowiek stał na dachu. Dwóch milicjantów ściągnęło go stamtąd i zaczęło bić. Pała, kop, pała, kop. Maltretowali strasznie. Moi



ZOMO w akcji: „Pała, kop, pała, kop”.

* Służba ochrony więzienia.

chłopcy zaczęli płakać. Była chwila, gdy chciałem wydać rozkaz, żeby oblać wodą milicjantów. Ale pohamowałem się. Ze strachu, że los internownego — był to Kałudziński, jak się później okazało — podziela za chwilę moi strażacy. Odpowiedziałem za nich. Nie miałem prawa ich narazić.

W pewnym momencie Kałudziński znieruchomiał. Miejscowa straż sięgnęła po sikawki. Myślałem: jak go ocucą, to już mu dadzą spokój. Ale nie. Od nowa zaczęli go tłuc. Aż człowiek padł. Zawołał pielęgniarkę. Stwierdziła zanik pulsu i wtedy wezwano pogotowie.

Kałudziński był pierwszym człowiekiem ciężko pobitym na naszych oczach. Ale nie ostatnim. Dalsza część tragedii rozegrała się w pawilonach. Internowani zabarykadowali się w nich. Podchodzi do mnie kapitan i mówi: Lej pan wodę w okna. — Lej pan sam — odparłem. — No, my sobie jeszcze towarzyszu porozmawiamy — usłyszałem pogroźkę. Pobyt nasz na terenie internatu stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Postanowiłem jednak wypić to piwo do końca. Powiedziałem chłopakom, chodźcie do pawilonu. Trzeba zobaczyć, co tam się dzieje. Ktoś musi być świadkiem.

Strażnicy otwierali cele, wyciągali na korytarz internowanych i bili ich. Bili dotąd, aż człowiek nie zemdlał. Wychowawca internatu, Młotkowski wskazywał kogo bić przede wszystkim. To jest mój sąsiad. Mieszkamy na jednej klatce schodowej. Od tego czasu nie zauważam go.

Widok pokrwawionych ludzi i znęcających się nad nimi milicjantów przekraczała granicę mojej wytrzymałości. Widziałem w życiu wiele nieszczęść, ale to były wypadki losowe. Tym razem byłem świadkiem bestialstwa. Bezradność dusiła mnie. Jenocześnie miałem poczucie zagrożenia.

Zetknąłem się twarzą w twarz z milicjantem, który wpił się we mnie dzikim wzrokiem krzycząc: No i co? No i co? Uznałem, że nadszedł czas żeby się wycoufać.

Wychodząc z obozu zapytałem miejscowego strażaka: co tu się dzieje? — A bo oni — wskazał milicjantów — przyjechali już ze Sztumu pijani. — A wy? — zapytałem. — My dostaliśmy rano po dwie setki — odparł. Po czym zaproponował moim chłopcom obiad w kantine. Tylko trzech zgodziło się pójść. Dostali zupę i gorzałę naturalnie. O godz. 14.00 wezwał mnie do siebie komendant MO. Obrzucił mnie wzrokiem pełnym wściekłości i



ZOMO w akcji: „Byłem świadkiem bestialstwa”.

wycedził przez zęby: No, to wasze zadania skończyły się.

— My pożary gasimy szybko — odparłem. — Ale do tego typu działań nie jesteśmy powołani.

Kazano nam opuścić teren obozu. Na wozach strażackich zastaliśmy kwiaty. Ofiarowali je ci sami ludzie, którzy nas dwie godziny temu przeklinali... Zrozumieliśmy braterstwo tego gestu, ale byliśmy tak zmaltretowani psychicznie, że nic już nie było nam w stanie sprawić przyjemności.

Pod zakładem stały budy ZOMO. Przyjechały nowe posiłki. To, co widzieliśmy stanowiło jedynie wstęp do sprawy. Łazienka w obozie trwała do późnych godzin nocnych.

W tym koszmarnym dniu tylko jedno napawało mnie satysfakcją, że moi młodzi strażacy nie zostali w to wszystko wciągnięci. Podeszli do mnie i powiedzieli: panie komendancie nie zawiadaliśmy się na pana.

— No, mieliście chłopcy lekcję wychowania obywatelskiego.

...

Następnego dnia matka wyszykowała mi kamizelkę na kozuchu. — Noś ją — powiedziała, choć było upalne lato. — Jakby cię bili, to może cię ten kozuszek trochę osłoni.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Gałuch wystął teleks do komendanta Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej. Opisał pokrótce zajście i swoją w nim rolę. Komendant odparł, że zgodnie z interpretacją przepisów zawodowych Gałuch postąpił słusznie.

W ogóle wszyscy przyznali mi rację. Koledzy w Komendzie Miejskiej powiedzieli, że postąpiliby tak samo jak ja. Tylko później nikt mnie nie bronił. Zresztą nie było sprawy. Na temat wypadków w obozie internowanych 14 sierpnia nie zamieniono ze mną ani jednego słowa. Coś działo się poza moimi plecami. Wkrótce dowiedziałem się, że Komitet Miejski PZPR już 15 sierpnia zażądał wyrzucenia mnie z pracy i to bez prawa jej uzyskania na terenie Kwidzyna. Ale komendant straży pożarnej nie śpieszył się z wykonaniem tych poleceń. W naszej branży potrzebni są fachowcy.

Tymczasem Komendzie Straży Pożarnej w Kwidzynie przybył zastępca d/s politycznych. Wezwał mnie na rozmowę. Słówkiem nawet nie napomknął o wydarzeniach w obozie internowanych. Podjął natomiast dysputę na temat... kleru. Mówił o biskupie Tokarczuku i o tym, że księża zarabiają po 40 tys. zł. Było to wszystko na takim poziomie, że ja się śmiałem. W pewnym momencie polityczny rzucił ze złości na stół okulary. Rozbiły się, a ja powiedziałem: proszę wybaczyć, ale nie pomogę panu zbierać. Po tej rozmowie zostałem zdegradowany z zastępcy komendanta straży pożarnej do stopnia zwykłego strażaka. Już trzeci miesiąc pracuję na tym stanowisku, ale nie wiem, co będzie dalej, bo zapowiada się weryfikacja.

— Co pan robi, jak pana zwolnią z pracy? — zapytałam.

— Jak to co zrobi? — oburzyła się matka — ulicę pójdzie zamiatać, nie on jeden. Aby zdrowie dopisało.

— Mieszkam w bloku milicyjnym — mówi Gałuch — moja córka wróciła kiedyś z podwórka i pyta: tatusiu, czy ty jesteś zdrajcą? Do dziś nie mogę dociec, kto jej to włożył do głowy.

Nagle okazało się, że mój życiorys jest obciążony polityczną hipoteką — Gałuch uśmiecha się. — Najpierw chciałem coś zrobić, więc zapisa-

łem się do partii, co z kolei umożliwiło mi zajmowanie dość wysokiego stanowiska. Gdyby nie ono, nie musiałbym prawdopodobnie podejmować decyzji w dniu 14 sierpnia. Moja hipoteka wzięła się więc raczej z sympatii do socjalizmu, niż odwrotnie.

Ile w tym jest świadomego wyboru? 14 sierpnia postąpiłem świadomie, ale to był wybór moralny, a nie polityczny. A przedtem? Niewiedza, iluzje. Wszystko to takie skomplikowane. Nagle człowiek znajduje się w centrum wydarzeń politycznych. I sam dziwi się, że tak jest.

Gdyby kiedykolwiek doszło do procesu kadry obozu w Kwidzynie zgłosiłbym się natychmiast na świadka. Ale na razie kadra jest chroniona. Kilkunastu pobitych internowanych przewieziono do szpitala. Jeden, 19-letni chłopak z Zamościa już trzeci miesiąc przebywa w szpitalu w Gdańsku. A ośmiu tych, którzy usiłovali wnieść sprawę do prokuratora zaarrestowano i przewieziono do więzienia w Elblągu pod zarzutem napaści na strażników obozu. Tak to wygląda.

Zbliżały się Zaduszki. Wracałam do Warszawy zatłoczonym pociągiem z trudem upychając nogi między walizkami podróżnych a doniczkami chryzantem. Cała Polska w drodze na cmentarze: do swoich dziadków, ojców. Ilu z tych ludzi w ogóle wie, że w Kwidzynie coś się stało? Zniszczone jesionki, eleganckie futra, białe i żółte chryzantemy, ciasno, duszno, niewygodnie, gęste przekleństwa na spóźniające się pociągi. Jaki jest związek tych dwóch Polsk? Polski dnia codziennego, zabieganej, skrzętej i bestialstw odbywających się po cichu, w izolacji? Daleki czy bliski? Pogłębiający się, czy coraz luźniejszy?



KSIĘGARNIA POLSKA
„ARKADY”
ALSTERARKADEN 10
2000 HAMBURG 36

Dzieci Jarre i campusów

Chiński mur i wiek XX

Nikt nie wie chyba dokładnie, ile bodźców potrzeba, by obudził się naród lub społeczeństwo. I nigdy nie wiadomo, jakie mogą, czy powinny zaistnieć okoliczności, które na to wpłyną. W 1981 roku na występy w Szanghaju i Pekinie udał się Jean-Michael Jarre, jeden z najbardziej nowoczesnych i fascynujących twórców europejskiej muzyki elektronicznej. Jego przyjazd do Chin ze specjalnie na ten cel napisanymi kompozycjami, aparaturą elektroniczną i laserową, stał się odkryciem, rewelacją i szokiem jednocześnie. Był to nie tylko pierwszy koncert muzyki rockowej, jaki dane było obejrzeć chińskim nastolatkom, był to od razu koncert rodem z XXI wieku. Trudno oprzec się pokusie analogii pomiędzy tym, co przydarzyło się kilka lat temu nastolatkom z Pekinu i Szanghaju, a tym, co próbują dziś uzyskać młodzi studenci z uniwersyteckich campusów szczególnego uprzywilejowania w tych właśnie miastach.

Rewolta zaczęła się w Szanghaju w drugiej dekadzie grudnia 1986. Kilkadziesiąt tysięcy studentów wyszło na ulice domagając się wolności prasy i demokracji. Potem przyszła kolej na Pekin. Po miesiącu dziennikarze donieśli już o buntach studenckich, demonstracjach, protestach i walkach w 17 największych miastach Chin. Wydaje się, że demonstranci nie mieli do końca określonego programu politycznego. Są młodzi, nie przygotowani do walki politycznej, za to niezwykle podatni na piękne brzmienie słów i związane z nimi obietnice. Jedno natomiast nie ulega wątpliwości — młodzi ludzie w Chinach dojrżeli do zmian. I to zmian radykalnych, realizowanych szybko i bezkompromisowo.

Obserwujemy więc w Chinach sytuację podobną do tej, jaka istnieje w Korei Południowej, czy — choć nieco odmiennie — w Pakistanie. Gdy rządzące dyktatury zaczynają „mięknąć”, powoli i ostrożnie przekształcać się w systemy zmierzające do demokracji, w społeczeństwie, zwłaszcza zaś w jego najbardziej radykalnym odłamie, jakim jest młodzież, zamiast zadowolenia z pewnego postę-

pu budzi się bunt i gwałtowna chęć przyspieszenia biegu zdarzeń. Odruchy i chęci tłumione w okresie panowania rządów silnej ręki, wyzwalają się przy najniższym przejawie poluzowania totalitarnego uścisku.

Niewątpliwie to, co dzieje się w Chinach od grudnia 1986 wchodzi w skład pewnej ogólnej tendencji, charakterystycznej dla ubiegłego roku — moralnego upadku dyktatur totalitarnych. W różnych krajach tendencja ta przejawiała się w odmienny sposób. Rewolta na Haiti, zakończona upadkiem miejscowego reżymu Baby Doca, sprawiła, iż jeden terror zastąpiony został innym. Na Filipinach jednakże, mimo wszelkich niepokojów, które nadal szarpią tym krajem, dokonuje się stopniowa ewolucja systemu rządzenia. Korea Południowa i Pakistan, każde na swój sposób, przeżywają okres zmagania między tendencjami radykalnymi a „miękką dyktaturą”.

Niewątpliwie ogromną rolę odgrywa tu postawa dwóch mocarstw światowych. Stany Zjednoczone, zarówno w wypadku Filipin, jak Haiti opowiedziały się zdecydowanie za demokracją, wcielając w ten sposób w życie nie zawsze dosłownie realizowaną doktrynę polityczno-ideologiczną, która głosi, iż powołaniem i misją USA jest popieranie wolności i demokracji wszędzie tam, gdzie jest ona tłumiona. Również Związek Sowiecki przeżywający pod rządami Gorbaczowa okres liberalizacji i reform wykonuje szereg gestów mających świadczyć o poparciu dla demokratycznych zmian.

Niezależnie od autentyczności tych sowieckich prób — ocenianych zresztą znacznie wyżej przez naiwno-entuzjastyczny Zachód niż przez nieufnych obywateli państw satelitarnych — ich zewnętrzny efekt propagandowy przynosi pozytywne skutki. W 1986 roku oba mocarstwa dały pewien znak, odczytany w sferach ich wpływów jako stwierdzenie — „już wolno”. Bunt studentów w Ka-zachstanie, którzy z („niskich”) pobudek nacjionali-

stycznych upomnieli się o „swojego” partyjniaka, protestując przeciw zastąpieniu „własnego aparacza” Rosjaninem, mieści się dokładnie w tym samym przedziale — jest odpowiedzią na niewerbalny sygnał „już wolno”, odczytany jako „trzeba”.

Ponieważ cechą demokracji jest prawo społeczeństwa do wyrażania swego niezadowolenia w formie demonstracji lub strajku, z reguły w krajach demokratyzującej się dyktatury, w pierwszym okresie wybuchu niepokojów społecznych władze reagują w sposób nietotalitarny — przyzwalając na protesty, do jakich doszło na przykład w Chinach. Ów okres „wyczekiwania” może być zarówno dowodem autentycznej liberalizacji, jak pewną maską, podobną do tej, którą znamy z Polski gierkowskiej. Niezadowolenie z wewnętrznych niepokojów ulega stłumieniu na rzecz zachowania (tworzenia) liberalnego oblicza władzy.

Analizując aktualną sytuację w Chinach natykamy zresztą i na inne analogie, znane nam dobrze z rodzimego podwórka. Zdają się one świadczyć, że bunt, jego rozwój i formy, w większym stopniu zależą od systemu, z którym walczą, niż mogłoby się to wydawać przywiązany do pojęcia „cechy narodowe” Polakom. Podobnie, jak w przypadku wszystkich protestów polskich nasuwa się pytanie, na ile obecnym „powstaniem studentekich campusów” sterowała bardziej demokratyczna frakcja przewodniczącego Teng Siao Pinga, usiłującego wyrzucić nacisk na własny „beton” partyjny, na ile zaś „powstanie” to było spontaniczne i niekontrolowane. Studenci chińscy powoli zaczynają zdawać sobie sprawę z tych warunków, co powoduje pewne niezadowolenie — ich własną, autentyczną i oddolną intencją nie było przecież popieranie jednej frakcji partyjnej przeciwko drugiej, lecz publiczne powiedzenie, że partia nałożyła na społeczeństwo gorset, którego ono już nie chce dalej nosić.

Nie ogłaszając więc żadnego programu studenci zażądali jednak znacznie więcej niż skłonny jest oddać partyjny rząd. Władza bowiem jest w Chinach zainteresowana przede wszystkim (a i to nie bez oporów i starć wewnętrznych) przyspieszeniem rozwoju ekonomicznego, wydzwignięciem gospodarki ze stanu nędzy i upadku oraz otwarciem drogi do Chin nowoczesnej technologii i technice. Na tle ideologicznego zamordyzmu Mao oraz bezpardonowej walki z „bandą czworga” po jego śmierci w 1976 r., posunięcia dokonane przez Teng Siao-Pinga w ciągu ostatnich kilku lat są rze czywiście zadziwiająco nowoczesne i otwarte. Chiny nawiązały nie tylko kontakt (technologiczny) z

Zachodem, lecz również dokonały otwarcia w kierunku państw Europy Wschodniej i — o wiele wolniej i ostrożniej — Związku Sowieckiego. Wyjście poza chiński mur zaciekłej i fanatycznej ideologii z czasów Mao, wprowadzenie unowocześnień technicznych (TV, wideo, komputeryzacja, komunikacja samolotowa), umiarkowany NEP w gospodarce wewnętrznej (np. zezwolenie na prowadzenie przedsiębiorstw wytwórczych i uprawianie własnych pól) obserwatorem z zewnątrz wydają się i tak już rewolucyjne. Podobnie jak z zewnątrz wydają się też przywódcy Chin, reprezentujący kierunek „reform” (modne słowo w krajach komunistycznych roku 1986). W swych perspektywicznych planach nie przewidzieli więc przyznania społeczeństwu większej wolności i demokracji typu zachodniego. Długo jeszcze nie byłoby mowy w „odnowionych” Chinach, gdyby nie studenci, którzy najwyraźniej wymknęli się spod kontroli i zażądali znacznie więcej niż władza miała ochotę im dać. To bowiem, czego w efekcie żądają, to nie „poprawianie” nadwątlonego systemu, lecz całkowita zmiana formuły politycznej. A zatem — zmiana ustroju.

Diennikarze zachodni przypominają w tym miejscu, że buntująca się obecnie grupa, to ludzie, którzy w Chinach chyba najwięcej mają do stracenia. Studenci bowiem, zwłaszcza z uniwersytetów w Pekinie i Szanghaju, są w komunistycznym społeczeństwie chińskim najbardziej uprzywilejowani. Mają prawo wyboru własnej drogi życiowej. Status ten wyrwa ich z anonimowego, pozbawionego przyszłości, ograbionego z przeszłości, miliardowego tłumu.

Młody Chińczyk, który dostał się na studia wie, że w pewnym sensie staje się panem swego ja i swojej przyszłej kariery. Po ukończeniu nauki czeka na niego praca, lepiej płatna i najczęściej na kierowniczym stanowisku. Czeka go lepszy standard życiowy i wyższy status społeczny. I tę swoją życiową szansę stawiają na jedną kartę demonstrujący studenci Pekinu, Szanghaju, Nankinu i innych chińskich ośrodków uniwersyteckich. Czy jest to dowód, że w dzisiejszych czasach nie da się wychowac elity i jeszcze liczyć na to, że pozostanie ona wierna temu, kto dał jej szansę?

Studenci chińscy zagrali w otwartą grę. Czy wygrają?

* * * * *

Czy dokonałeś już wplaty na

FUNDUSZ WYDAWNICZY

»POGLĄDU«?

Religia czy narkotyk?

Część VI

Milcz i potakuj

Wspominałem już o słynnym „procesie” piłkarzy, który odbył się późną jesienią 1980 roku i został nazwany Muppet-show. Muszę jednak wrócić do owej afery, gdyż jest to najlepszy przykład metod wychowawczych, obowiązujących w światku sportowym PRL. A więc, było tak...

W końcu listopada futboliści wybierali się na mecz z Maltą, rozpoczynający eliminacje przed mistrzostwami świata 1982. Termin spotkania ustalono — jak zwykle — bardzo mądrze, a mianowicie po zakończeniu sezonu piłkarskiego w Polsce. Biedny trener Kulesza musiał więc wyrwać zawodników z zimowego snu i zabrać ich na kilkanaście dni do Włoch, by tam przygotować ekipę do — jakby nie oceniać klasy reprezentacji Malty — mistrzowskiego pojedynku. Stąd właśnie wyznaczono, że piłkarze spotkają się w niedzielę w warszawskim hotelu „Vera”, a w poniedziałek odleciać do Rzymu, gdzie rozpocznie się obóz przygotowawczy.

Do „Very” zawiął ówczesny prezes PZPN, gen. Marian Ryba. Mężczyzna bardzo popularny, głównie dlatego, że kiedyś udzielił wywiadu dla pisma *Sportowiec*, a ja — jako sekretarz redakcji — poleciłem, aby ów elaborat ukazał się bez skreśleń i retuszów. Cenzura nie interweniowała, gdyż każde słowo generała było nacechowane miłością do komunistycznych porządków. Zamieszanie zrobiło się dopiero wtedy, gdy kilku inteligentnych ludzi przeczytało wypowiedzi w stylu — „jestem prezesem PZPN, bo zawsze byłem społecznikiem co się zowie”.

Węc generał-społecznik porozmawiał chwilę z zawodnikami, wygłosił kilka zdań, z których nic nie wynikało. Nie odpowiedział na pytania pił-

karzy, dotyczące braku sprzętu i warunków finansowych, jakie będą towarzyszyły zmaganiom o mistrzostwa świata, po czym — nic właściwie nie załatwiwszy — dumny z siebie wyszedł. Trener Blaut też gdzieś zniknął, a szef, czyli Ryszard Kulesza, pojechał do domu, gdzie miał zamówiony telefon do Belgii, do Grzegorza Laty. Futboliści zostali sami, a że akurat były urodziny Zdzisława Kostrzewy, pojawiła się coca-cola z „prądem”.

Nie przeczę, wypilem dwie szklaneczki, pogadałem z tym i owym i szybko zorientowałem się, że atmosfera zaczyna być zabawowa. Miałem złe przeczucia, więc poszedłem do Zbyszka Bońka i Władka Żmudy z prośbą, żeby wzięli w karby futbolowe towarzystwo. Obaj zgodzili się ze mną i zarządzili koniec libacji. Boniek dodał: *Panie Krzysiu, nie będzie żadnych rozrobek. Idziemy spać! A w ogóle to nauczyłem się już milczeć. Jestem Nurmi — wielki niemowa. Nawet prezesowi nie powiedziałem, co sądzę o jego wystąpieniu...*

Nie muszę dodawać, że na drugi dzień byłem zdziwiony, gdy massmedia obwieściły, że piłkarze są bandytami i buntownikami. Bońka, Żmudę, Terleckiego i Młynarczyka nazwano nawet bandą czworga. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Na razie ze strzępków informacji, usiłowałem ułożyć obraz wypadków w hotelu „Vera” i na lotnisku, ale nic się nie zgadzało. Trener Kulesza donosił z Włoch, że żadnego buntu nie było, a w kraju prasa grzmiąca, pouczała, karciała.

Za dwa dni nowa wiadomość. Oto prezes-generał-społecznik i sekretarz generalny — jako karna ekspedycja — wybierają się na Półwysep Apeniński z misją doprowadzenia do tego, żeby Boniek, Żmuda, Terlecki i Młynarczyk wrócili do kraju. Ktoś może powiedzieć — wystarczy jeden telefon lub teleks. Być może. Jednak od dawien dawna wiadomo, że kulturalny mężczyzna jesienią powinien jechać do Włoch, więc prezes z sekretarzem ruszyli tymże szlakiem. Ruszyli chętnie,

bo — po pierwsze — są społecznikami i żadna misja im nie obca, a — po drugie — mogli swą obecnością zaszczyścić nie tylko Włochy, ale także Malte.

Ja tymczasem czekałem na lotnisku na czwórkę skazańców. Wyszli, rozejrzeli się niepewnie, czy aby kamienie nie polecą w ich stronę, ale nie. Mogliśmy więc spokojnie omówić ową noc w hotelu „Vera” i nie tylko, a potem rano na lotnisku.

Owszem narozrabiali. Wieczorem, w hotelu, niemal wszyscy poczuli się niedopieczeni i ruszyli w miasto. Najgłośniejszym echem odbiła się wyprawa grupy zawodników pod przywództwem Młynarczyka, która poszła obejrzać wirujący parkiet w „Adrii” i raczyła się tam szampanem. Głównie dlatego, że Młynarczyk, lekko nabańczony, wrócił nad ranem w towarzystwie red. Zielińskiego z TV, który — co tu dużo mówić — pionu nie trzymał. Młynarczyk nie chciał go zostawić na pastwę losu, ten zaś zachowywał się tak głośno, że obudził pracowników „Very”.

Zrobiło się zamieszanie. Telefony, sprzeczne polecenia. Najwięcej do powiedzenia mieli ci, którzy nie czuli się winni. A więc Boniek, ponieważ całą noc przykładnie spał w hotelu, a także Żmuda, bowiem on również nie uczestniczył w nocnej libacji. Po chwili pojawił się Terlecki, który spędził noc u rodziny, mieszkającej w pobliżu Warszawy i też — jako niewinny — włączył się do rozmów. W powszechnym zamieszaniu zaginął rozsądny głos Władka Żmudy. *Panowie, poczekajmy, porozmawiajmy, ustalmy wszystko przed wyjazdem z „Very”*. Nie było jednak trenera Kuleszy, nie było szefa ekipy Należytego, nie było nikogo, kto mógłby podjąć jakąś decyzję. Drugi trener Bernard Blaut stwierdził, że Młynarczyk nie jedzie z ekipą do Włoch, ale było to polecenie wydane przez jakąś nieokreśloną osobę.

Najpierw ruszył autokar z zawodnikami, potem samochód Terleckiego z Młynarczykiem jako pasażerem i cała ta kawalkada dotarła do Okęcia. Tu powitały ją kamery telewizyjne, bowiem TV chciała zrobić przedmeczowe rozmówki. Było więc niczym na jarmarku w dzień targowy. Zawodnicy zamierzali porozmawiać z trenerem Kuleszą, ten jednak boczył się na nich. Z boku stał Młynarczyk w pozie skazańca, oczekującego na wyrok. Kamery zaczęły terkotać. Terlecki powiedział, że zawodnicy nie życzą sobie, aby filmowano ich prywatne rozmowy. Gdy prośba nie przy-

niosła żadnego skutku, po prostu podszedł do kontaktu i wyjął z niego kabel. Zbiegło się to z okrzykiem Bońka: Panowie, przecież prosiliśmy... Weźcie stąd ten mikrofon!

I jak w *Panu Tadeuszu* była chwila ciszy. Wreszcie trener Kulesza, namówiony przez psychologa doc. Pilkiewicza, podjął dialog z piłkarzami. Zgoda, nie był to Wersal. Brylował — jak zwykle — ten, który miał być „wielkim niemową”. Wspierali go Żmuda i Terlecki. Padaly dość mocne słowa, zawodnicy gorączkowo, gdyż termin odlotu był bliski, wyluszczali swe racje. Młynarczyk narozrabiał — to fakt, nikt tego nie neguje. Ale wielu innych też jest winnych i będą się głupio czuli, jeśli zostanie on kozłem ofiarnym. Poza tym — trzeba wczuć się w sytuację bramkarza. Matka bardzo ciężko chora, poważna sprawa sądowa w toku, same niepowodzenia. Jeśli teraz zostanie sam, to pójdzie „w tango”. Można będzie zapomnieć nie tylko o Józku-reprezentancie, ale w ogóle o sportowcu. Dlatego właśnie zawodnicy domagają się, żeby go ukarać, żeby — powiedzmy — przez rok nie brał premii za mecze i w dodatku zapłacił jakąś dużą karę pieniężną, ale musi, musi jechać do Włoch!

Ryszard Kulesza jest rozsądnym człowiekiem. Jego doradca, doc. Pilkiewicz — też. Wspólnie ustalili więc, że zgoda na wyjazd Młynarczyka i na kary zaproponowane przez piłkarzy scementują grupę, stworzą atmosferę sprzyjającą wielkim wynikom. Pamiętali zapewne kłopoty z nieznośnym dzieckiem polskiej lekkiej atletyki, Władysławem Komarem. Kłopoty, które ustały jak uciął z chwilą, gdy ktoś mądry — bodajże Jan Mulak — zaproponował, by Komar został kapitanem lekkoatletycznej reprezentacji. Stąd właśnie obaj — i trener i psycholog — postanowili wykorzystać szansę. Jeśli Młynarczyk pojedzie do Włoch i na Malte, reprezentacja będzie oczkiem w głowie wszystkich piłkarzy, ich ukochaną drużyną, zespołem, dla którego należy poświęcić wszystko.

Nie zwracano więc uwagi na pokrzykiwania Należytego, że trzeba wsiadać do samolotu, bo kary będą wysokie, lecz po prostu ustalono modus vivendi. Wszyscy zadowoleni ruszyli w drogę. Co dalej było, już wiemy. Na tym sprawa się jednak nie skończyła. Oto w połowie grudnia odbył się proces. Wynajęto salę przy ul. Nowowiejskiej, zaproszono telewizję, dziennikarzy, wszystkich reprezentantów oraz cały personel techniczny czyli trenerów, lekarzy, masażystów i rozlicznych kierowników. Był też oczywiście prezes-społecz-

nik. Jest to okoliczność ważna, gdyż generał raczej zabrał głos, powołując sam siebie na świadka wydarzeń, przy których nie był obecny.

Najpierw jednak przystąpiono do przesłuchań. Z jednej strony Komisja Dyscyplinarna PZPN pod przewodnictwem prokuratora Przygodzkiego, z drugiej świadkowie i oskarżeni, co chwila wołani do „konfesjonatu”. Było to bardzo dziwne widowisko. Gdy odpowiedzi nie zgadzały się z wyobrażeniami Wysokiego Gremium, prokurator Przygodzki był uprzejmy cmokać powątpiewająco i z niesmakiem. Nie skąpił też nauk i złotych myśli. Trenera Kuleszę uczył jak ma trenować, a dr. Janusza Garlickiego — jak ma leczyć. Bardzo zabawnie wyglądało starcie z doc. Pilkiewiczem, poważnym naukowcem, psychologiem z Uniwersytetu Warszawskiego. Docent powiedział, że nie było żadnego buntu i że — jego zdaniem — Kulesza podjął jedyną mądrą decyzję. Więc pan Przygodzki przystąpił do ataku — mieszając psychologię z socjologią, nauki prawne ze społecznymi, ale krzyczał długo i głośno. Doc. Pilkiewicz zdążył jedynie wtrącić, że różnica między nim a prokuratorem polega na tym, że on (Pilkiewicz) wie co mówi, a jego adwersarj mówi, co wie i to nie zawsze z sensem. Starz został skarczony i pozbawiony prawa występowania jako świadek.

W sumie żadnych konkretnych dowodów rzekomego buntu na lotnisku nie przedstawiono. Piłkarze przyznawali się, że na pewno przekroczyli normy „kamyczkowego” *savoir vivre*’u, ale nawet nie myśleli o buncie czy szantażu. Wtedy właśnie, przy końcu owej szopki, generał-społecznik powołał się na świadka. Mówił dość długo, gładko, wykrętnie. Sens był taki — kary będą surowe. Po jego wystąpieniu zapadła cisza, którą przerwał — ktoś by inny! — wielki niemowa. Powiedział, że jest rozgoryczony, czuje się jak śmieć i zadał tylko jedno pytanie: Panie prezesie, dlaczego dziś, na tej sali, mówi pan zupełnie coś innego niż w Rzymie? Tym razem cisza była kłopotliwa, więc ozywił się pan Przygodzki i zakończył ów Muppet-show.

Bońka, ponieważ grzecznie spał w hotelu, ukarano prawie roczną dyskwalifikacją, Terleckiego, który wyjął wtyczkę z gniazodka — też. Młynarczyk — także rok, bo lubi szampana i jest w złym nastroju psychicznym. Żmuda, też nie był na libacji i nic złego nie zrobił — kara w zawieszeniu. Taką samą dyskwalifikacją obarczono jeszcze Włodzimierza Smolarka. Był w „Adrii”, ale wyszedł wcześniej niż Młynarczyk, więc kara w zawieszeniu.

W całej tej sprawie nie chodzi o wysokość kar. Wiadomo, był przełom lata 1980 i 81, więc władza uznała, że przysła się jakaś afera, która — choć na pewien czas — odciągnie uwagę ludzi od sędziego Kościelniaka (ten, który nie zarejestrował „Solidarności”) i wielu innych spraw dziejących się w kraju. To była główna przyczyna owej afery i wysokich dyskwalifikacji.

Sprawa jest dość typowa. Oto komplet sądzący przez kilka, czasem przez kilkanaście dni, zbiera dowody obciążające zawodnika. Ludzie ci są więc jednocześnie prokuratorami i sędziami. Zawodnik zaś — oskarżonym, a jego argumenty czy dowody — próbą oszukania sądu. Ma być tak — pewna grupa ludzi wyrabia sobie zadnie o jakiejś sprawie, gromadzi dowody, po czym ma obiektywnie roztrząsać wszystkie argumenty. Nonsens, prawda? Tak, nonsens, tak wielki, że znawcom prawa i mechanizmów rządzących procesem sądowym włosy stają na głowie. Oni, czyli Komisja Dyscyplinarna, wszystko wiedzą lepiej, nie docierają do nich żadne fakty. Dochodzi do oczywistych sprzeczności i paradoksów, bo Wysokie Gremium już przed rozprawą ma gotowy wyrok.

Kiedyś Boniek zachował się bardzo nieładnie. W czasie boiskowego starcia z Konradem Bajgerem przewrócił się na ziemię i złapał za oko, tak, jakby przeciwnik wymierzył mu celny cios. Sędzia nabrał się na kawał i wyrzucił Bajgera z boiska. Po meczu Zbyszek chciał powiedzieć, jak w rzeczywistości było, chciał stawić się przed komisją dyscyplinarną i wszystko wyjaśnić. Jednak mądrzy ludzie, łącznie z Bajgerem, odradzili mu ten krok. Nikt ci nie uwierzy, pomyślą, że oszukujesz. Ty zarobisz dyskwalifikację, a Bajger zostanie surowiej ukarany niż należy.

O słuszności tego rozumowania Boniek przekonał się kilka miesięcy później. Oto sędzia wydał werdykt sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem i Zbyszek, bardzo młody wówczas zawodnik, gwałtownie zaprotestował: *Co to, kurwa znaczy! Czy pan jest dwunastym zawodnikiem w ich drużynie?!* Dostał upominek w kolorze czerwonym, a potem wezwanie przed Wysokie Gremium. Tam ze zdumieniem dowiedział się, że nazwał sędziego „bucem”. Dowodził więc, że „buc” jest krakowską nazwą tej części ciała... zresztą wszyscy wiedzą jakiej, że sędzia jest rodem z Krakowa i że on — jeśliby użył tego porównania — to ową część ciała nazwałby zupełnie inaczej. Mówił tak — proszę wskazać choć jedną osobę, która słyszała ode mnie słowo „buc”. Ale oni byli

mądrzejsi. Sędzia napisał „buc”, więc tak musi być.

Nie bronię tu Bońka. Zachował się nieładnie. Sęk w tym, że żadne jego argumenty nie były brane pod uwagę. Z jednej strony zasiadła Wysoka Komisja, a z drugiej — on, rab, niewolnik, który ma milczeć i słuchać. Boniek mówi tak — jeśli przed Komisją Dyscyplinarną zachowasz milczenie, będziesz się kłaniał i potakiwał, wyrok będzie mały. Ale gdy powiesz choć słowo w sucznej sprawie, gdy będziesz udowadniał swe racje — nie ma litości. Zapada wyrok, człowiek zostaje pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Odbiera mu się stypendium, nie uczestniczy w życiu sportowym, nie bierze premii za zwycięstwa. Słowem — śmieć.

Komisja rozumuje jednak w ten sposób — jest sprawa, musi być kara. Jak wielka? Zależy to od uniżoności oskarżonego i wielu czynników ubocznych. Po pierwsze — zależy od centrali sportowej. Po drugie — w przypadku Bońka bardzo często od tego, kiedy jego Widzew miał grać mecz ze stołeczną Legią. Jeśli za cztery tygodnie, kara była miesięczna, jeśli za osiem, odpowiednio dłuższa. „Sympatycy” Legii bowiem dość skrzętnie pilnowali, by łódzki klub grał przeciwko stołecznej drużynie bez swego asa atutowego.

Czasem jednak sportowiec jest bardzo potrzebny trenerowi reprezentacji. Co wtedy? Oto przykład. Jesienią 1979 r. na zgrupowanie futbolistów przed mistrzowskim, bardzo ważnym meczem z Holandią wpadł jeden z dziennikarzy niewielkiego lotu, choć czujący się bardzo pewnie. Chciał w przeciągu paru minut przeprowadzić kilka mini-wywiadów dla sportowej gazety. Żle jednak trafił, zawodnicy byli zajęci, więc biedak musiał czekać ponad godzinę. Urazony napisał tekst pt. „Zwyczajne panów reprezentantów”, w którym polecił piłkarzom hodowlę pieczarek lub warzyw inspektowych, gdyż są to równie intratne (jak futbol) zajęcia.

Zawodnicy przeczytali ów niezwykle elegancki komentarzyk w samolocie, który ich wioził, po porażce, z Amsterdamu do Warszawy. Zgodnie ze stanem faktycznym orzekli więc, że jest to zwykle chamstwo. W rewanżu ustalili, że dziennikarze to szakale i zaczęli te „mie zwierzątką” naśladować. Padło kilka mocnych słów, ale rzecz cała zmierzała w kierunku złagodzenia nastrojów. I tak by się stało, gdyby nie to, że kilku dziennikarzy napisało skargę do KC. Oni, poważni ludzie, pierwszy front socjalistycznej propagandy, zostali obrażeni do głębi serca. I zaczęło się. Komisja

Dyscyplinarna przez parę dni roztrząsała problem — kto czekał, kiedy i jak głośno. O tym, że zawodników w chamski sposób zaczepiono nikt nie dyskutował. Ani też, że był to może nieelegancki, ale przecież zwykły, szczeniacki żart.

Ustawiono szczekających w szeregu i dalej. Boniek, Lato, Szymanowski i Terlecki — rok zawieszania! Ale Boniek był potrzebny reprezentacji, która bez niego grała bardzo słabo. Więc gdy zbliżał się mecz z RFN, rozdzwoniły się telefony. Może Zbyszek napisałby pismo z prośbą o zmniejszenie kary? Na pewno już się poprawił, na pewno wszystko zrozumiał. Tym razem jednak Boniek zaciął się. Jego szczekanie wyceniono na rok, to rok nie będzie grał. Nie poprosi, nie poniży się. Więc władze same darowały mu resztę kary i pozwoliły na zgrupowanie. Nie chciał jechać, był źle przygotowany do sezonu, ale przecież musiał. Musiał też grać, zdobył bramkę, lecz wypadł dość słabo. No to znów go pałą w łeb. Prasa rozpisła się o tym, że ma konszachty z PZPN, który na skinięciu ręki zdejmuje z niego karę.

Zbyszek mówi tak: *Czułem się jak marionetka, pociągana za sznurek. Najpierw dostałem rok dyskwalifikacji i to nie dlatego, że czekałem, ale że nazywam się Boniek. Była sprawa, musieli być winni. Najlepiej wybrać tych z głośnymi nazwiskami. Potem — bez żadnego gestu z mojej strony — zdjęto dyskwalifikację i kazano mi grać w reprezentacji. Więc grałem, choć byłem źle przygotowany. No to posądzono mnie o wszystkie nieprawości tego świata. Dom wariatów, istny dom wariatów!*

Określenie to sumuje mój cały wywód. Gdy dodać do tego, że dzieje się to w kraju, w którym bez przerwy mówi się o wychowaniu poprzez sport i o tym, że kara jest przede wszystkim środkiem wychowawczym — może się wydać, że porównanie Bońka jest zbyt łagodne. ■

SPROSTOWANIE

W numerze 1 (122) „Poglądu” podano błędnie numer konta Funduszu Pomocy dla Zarządu Regionu w Gorzowie Wlkp.

FONDS DES BEZIRKSVORSTANDES
NSZ „SOLIDARNOŚĆ” GORZÓW WLKP.

Deutsche Bank
Konto nr. 5237193-01
BLZ 466 700 07
5760 Arnsberg 1

Przepraszamy!

W służbie partii, w służbie Kościoła...

Prawdziwie lewicowe filmy powstają dziś wyłącznie na Zachodzie. Tu nikt nikomu nie każe i natchnienie do marksistowskich agitek płynie z autentycznego poczucia potrzeby naprawy świata lub fanatyzmu, a nie z Komitetu Centralnego. Ostatni film przesycony szczytnymi ideałami społeczeństwa budującego komunizm z Bloku Wschodniego nazywał się „Ballada o miłości” (zgadnijcie do czego?) i został nakręcony przez sowieckiego reżysera Andrieja Michalkowa-Konczalowskiego, który dzisiaj za taskawym przyzwoleniem Kremia robi filmy na Zachodzie. I to bynajmniej nie hymny na cześć jedynie słusznej drogi, lecz komercyjne dreszczowce, które równie dobrze mógłby kręcić George Roy Hill czy inny Spielberg.

Najbardziej może znaczącym, bo dotyczącym utalentowanego reżysera, przykładem lewicowej twórczości filmowej na Zachodzie są filmy Anglika Rolanda Joffe. Jak stwierdził dziennik *Washington Times*, jeden z aktorów występujących w jego filmie określił go mianem „tepogłowego marksisty”. Sam Joffe woli występować jako „ateista”, lub lepiej, „agnostyk”. Jako reżyser ma on niewątpliwie znakomite wyczucie epickiej siły filmu i oddziaływania obrazów filmowych na emocje i przekonania. Najlepszym dowodem tych niepowszednich talentów może być jego pierwszy film – „Killing fields” (Pola śmierci), który chociaż niedwuznacznie antyamerykański, zdołał uzyskać trzy nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej.

„Pola śmierci” podjęły temat eksterminacji Kambodżan przez komunistyczny reżim Czerwonych Khmerów. Bohaterami filmu są dziennikarz, korespondent dużej gazety amerykańskiej i jego kambodżański pomocnik, dziennikarz i tłumacz. Film rozpoczyna się w momencie ofensywy Czerwonych Khmerów i ewakuacji cudzoziemców z Phnom Penh. Amerykanin decyduje się zostać w stolicy do ostatniej chwili, a jego kambodżański

przyjaciel towarzyszy mu. Ostatecznie ten pierwszy ewakuuje się z pracownikami ambasady francuskiej, a drugi zostaje wydany czerwonym. To właśnie jego oczami oglądamy piekło – obozy komunistycznej reedukacji, które przemieniają się w obozy koncentracyjne.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że film jest jednoznacznym oskarżeniem zdegenerowanej ideologii. Przede wszystkim reżyser wyróżnia wśród Czerwonych Khmerów dwa obozy – tych, którzy mordują i tych, którzy usiłują tego nie robić. Subtelne rozróżnienie pobrzmiewa starym, komunistycznym frazesem – socjalizm tak, wypaczenia nie! Zanim jednak skryci przeciwnicy wypaczeń zdolają się w filmie „Pola śmierci” zorganizować zostają unicestwieni przez „niesłusznych” – tych, którzy rozumieją komunizm jako wypaczenia właśnie. Żeby nie było wątpliwości, że prawomyślni komuniści nie mieli ze sprawą kampucańską nic wspólnego funduje nam się scenę, w której żołnierze armii Czerwonych Khmerów dość brutalnie obchodzą się z przedstawicielami ambasady sowieckiej w Phnom Penh.

W nieuzasadnionych dramaturgicznie, wręcz sztucznie wklejonych w całość scenach walkowana jest natomiast teza, że tak naprawdę to USA ponosi odpowiedzialność za ludobójstwo w Kambodży, ponieważ rozpoczęło potajemnie bombardowanie pogranicza wietnamsko-kambodżańskiego, opanowanego przez rebeliantów komunistycznych, co z kolei miało spowodować zmianę nastrojów ludności na bardziej sprzyjające Czerwonym Khmerom. Wstrząsający widok nągich pieszczeli, rozkładających się zwłok i egzekucji miał się zatem kojarzyć nie z czerwoną gwiazdą, a z wujem Samem

Drugi film Rolanda Joffe „The Mission” (Misja) wszedł na ekrany w urze laureata głównej nagrody festiwalu filmowego w Cannes. Na tle przeciętności kinowej, quasi-psychologizmu i tę-

poty filmów science-fiction „Misja” jest widowiskiem dużej klasy. Akcja filmu rozgrywa się w połowie XVIII w. w Ameryce Południowej, na obsza-

gandy. Teza jest założona z góry, a postacie są głównie znakami pewnych postaw. Bohaterowie, mimo ambitnych wysiłków aktorów Roberta de



Jeremy Irons jako ojciec Gabriel: Stuczni bohaterowie.

rze działalności nisji jezuickich. Jedną z misji jest dziełem ojca Gabriela, natchnionego duchownego, który nawróciwszy Indian organizuje ich w samowystarczalną, kwitnącą społeczność. Po zabójstwie własnego brata i przejściu przemiany duchowej jego niespodziewanym sprzymierzeńcem staje się niedawny awanturnik i handlarz niewolnikami, Mendoza. Nad misją wiszą jednak ciemne chmury. W wyniku układu zawartego pomiędzy królami Hiszpanii i Portugalii obszar, na którym znajduje się misja ma przejść pod władanie Portugalii, a kraj ten nie toleruje działalności misjonarskiej jezuitów, traktując Indian wyłącznie jako towar.

Z niezwykłych w kinie wyobrażeń zrodzonych na styku kultury Indian z kulturą chrześcijańską Roland Joffe komponuje obrazy dzikie i ekstrawaganckie, lecz równocześnie zaskakująco piękne. Film nakręcono w okolicach imponującego wodospadu Iguassu w Kolumbii, którego widoki ujęte w ramy tropikalnej przyrody nadają filmowi jeszcze większą siłę ekspresji.

Ale w „Misji”, podobnie jak w „Polach śmierci”, siła wyrazu, groza lub szokujące piękno obrazów są przede wszystkim narzędziami propa-

Niro i Jeremy Ironsa w rolach Mendozy i ojca Gabriela, są i pozostają do końca sztuczni. Filmowi brak dramatycznego napięcia wynikającego zazwyczaj ze zmagania się ludzi z namiętnościami lub sumieniem. Nieprzekonywujące są kolejne przemiany duchowe Mendozy, wewnętrzne rozdarcie ojca Gabriela, uwikłanego pomiędzy nakaz subordynacji wobec zwierzchnictwa a poczucie lojalności wobec wiernych, wypadają płasko. Tego konfliktu trzeba się właściwie domyślać. Joffe, jak Gorki, potrafi snuć heroiczne opowieści o ludzkościach-symbolach, ale ma niewiele do powiedzenia o człowieku z krwi i kości.

„Mój film jest o jednostkach, które walczą o uratowanie innych jednostek ludzkich wbrew szeroko rozumianym interesom Kościoła, usiłującego bronić swoich biurokratycznych struktur”, powiedział reżyser dziennikowi *The New York Times*. Angielski postępowiec nie krył też w tej rozmowie, że jego film ma wydzwięk jak najbardziej współczesny i odnosi się w pierwszym rzędzie do tzw. „teologii wyzwolenia”, która w Ameryce Południowej zaleca księżom angażowanie się w walkę o wyzwolenie społeczne. W „Misji” namiestnik papieski poleca jezuitom porzucić In-

dian, ponieważ opór zakonników może rozgniewać króla Portugalii i w konsekwencji spowodować wypędzenie jezuitów z tego kraju.

Autor „Misji” przyjmuje fałszywe założenie, że Kościół katolicki, podobnie jak teokracja komunistyczna jest organizacją wyłącznie ideologiczną, zaś w odniesieniu do księży i misjonarzy obowiązują te same zasady, które stosuje się do pracowników frontu ideologicznego. W jego filmie Kościół nie ma nic z charakteru reprezentanta „królestwa nie z tego świata” — kieruje się wyłącznie swoimi imperialnymi interesami, pozostawiając księży wobec dylematu wyrzeczenia się pasterskiego posłannictwa, lub wypowiedzenia posłuszeństwa Kościołowi. Główni bohaterowie, którzy mają rzekomo reprezentować różne podejścia do tego dylematu, wybierają w rzeczywistości to samo rozwiązanie — nieposłuszeństwo wobec zwierzchności kościelnej. I choć Mendoza ginie z bronią w ręku, a ojciec Gabriel na czele pokojowej procesji, nie pozostawia się widzom wątpliwości, że Gabriel sercem popiera zbrojny opór Mendozy. Jeszcze dziesięć lat temu po obaleniu rządu Allende chilijski reżyser bez ogródek agitował księży w filmie „Już nie wystarczy się modlić”, by zaangażowali się w walkę. Teraz, gdy sympatie lewicowe na świecie nieco osłabły, angielski marksista nie waży się powiedzieć tego samego wprost, lecz przebiera bohaterów w kostiumy i przenosi akcję w zamierzchłe czasy.

Ta ogołdność w lansowaniu radykalnych frazesów powoduje zresztą, że film wzbudza opory również w „postępowym obozie ludzkości” i na przykład, ktoś tak znamienity dla ruchu reformatorskiego w Kościele, jak domagający się jego upolitycznienia amerykański ksiądz Daniel Berrigan, nie zgadza się z finałem filmu. Ksiądz Berrigan, równie chętnie posługujący się cytatami biblijnymi, co marksistowską frazeologią, pełnił przy filmie „Misja” rolę konsultanta i odtwórcy jednej z drugoplanowych ról. W dzienniku z przebiegu produkcji filmu, analizując scenę śmierci księdza Gabriela zauważa on: „To jest karykatura wyrzeczenia się przemocy, a nie jej objawienia. Na drodze wyrzeczenia się przemocy trzeba stawiać sprawy na płaszczyźnie konfrontacji twarzą w twarz, krzesając iskry z przemocy”. Jakie iskry ma na myśli ksiądz Berrigan można zgadnąć, gdy przeanalizuje się jego działalność. Jako wpływowy aktywista akcji oporu przeciwko wojnie w Wietnamie wziął on m. in. udział w podpaleniu archiwum ośrodka poboru wojskowego, a w 1980 roku, jako uczestnik pacyfistycznego ruchu „Miecze na le-

mieszce” uczestniczył w akcji zniszczenia stożków czolowych rakiet nuklearnych w zakładach General Electric w miejscowości King of Prussia w stanie Pensylwania.

W ogóle, jak na zrobiony przez postępowca, film wzbudza zaskakujące zastrzeżenia. *Christian Science Monitor* nie wadzący się bynajmniej z ruchami reformatorskimi w Kościele dostrzega w „Misji” „subtelny rasizm”, który, jak stwierdza amerykański dziennik, „jest godny pożałowania, jeśli nawet nie jest zamierzony. Ekran wypełniają Indianie, lecz żaden z nich nie ma szansy wystąpienia jako pełna osobowość. Odgrywają oni wyłącznie rolę pionków w grze białych. Oto dlaczego śmierć obu zakonników jest wizualnie dużo bardziej wyeksponowana niż śmierć niezliczonych Indian wokół nich. I dlatego też, pisze recenzent tego dziennika, David Sterritt, aspiracje filmu do wzniosłości pozostawiają mnie obojętnym”.

MISJA, reż. Roland Joffe, scen. Robert Bolt, muzyka Enio Morricone, w rolach głównych Jeremy Irons i Robert de Niro. ■

AESCULAP

A P T E K A W Y S Y Ł K O W A
A R Z N E I M I T T E L V E R S A N D
A E S C U L A P

Ostwald 97, 4150 Krefeld — RFN
Tel. 0049-2151-801710
Postgiroamt Essen Konto Nr: 17164-438

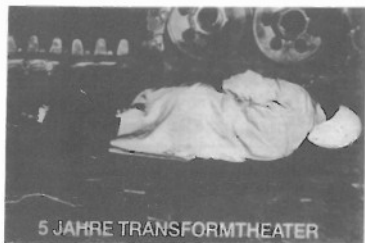
Apteka nasza wysyła wszystkie lekarstwa dostępne na rynku Republiki Federalnej Niemiec na podstawie recepty wystawionej przez polskiego lekarza, bezpośrednio w kraju lub rodzin zamieszkałych poza granicami Polski. Ceny nasze są do 20 % niższe jak w aptekach na terenie RFN. Wysyłka bezpośrednio do Polski następuje po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na nasze konto lub przesłaniu czeku na nasz adres. Dalszych informacji udzielamy listownie lub telefonicznie w godz.: 9.00 do 12.00.

ZARZĄD APTEKI

»Teatr robi się dla ludzi jemu najbliższych«

Henryk Baranowski i jego „Król Dawid”
w teatrze „Transform”

Jerzy Hoffmann: Henryku, Twoja najnowsza premiera zbiega się z pierwszym jubileuszem założonego przez Ciebie w Berlinie Zachodnim teatru „Transform”. Może więc najpierw kilka słów o tej cenionej tutaj scenie, o jej założeniach, programie i osiągnięciach. Teatr ten ma przecież już na swym koncie szereg interesujących premier. Posiada zespół stale współpracujących z nim aktorów, prowadzi szkołę teatralną, ma własną publiczność.



Henryk Baranowski: Tak, publiczność przychodzi, różnie ona dopisuje, zależy to od przedstawienia, od miejsca, gdzie się gra. Są problemy z salą podstawową, nie z salą do prób, bo to jest załatwione. Mam w tej chwili lepsze subwencje, mogę angażować aktorów, nawet, jak na nasze warunki, dosyć drogie. Szkoła rozwija się już niezależnie od teatru. Ja oddzieliłem się od tego. Mnie bardziej interesuje reżyseria, niż praca pedagogiczna. Program teatru, trudno mi to sformułować. Po prostu robię sztuki, czy materiał literacki, który mnie akurat intymnie dotyczy. To wszystko.

— Pomówmy w takim razie o Twojej najnowszej premierze, o „Królu Dawidzie”. Co skłoniło Cię do wybrania właśnie tej sztuki, której autorem jest zmarły przed 4 laty polski dramaturg i reżyser Helmut Kajzar?

— Myślę, że ten materiał literacki, który Helmut po sobie pozostawił — trudno to nazwać sztuką — jest w kilku miejscach bardzo poruszający. Są to rozważania o śmierci, o umieraniu świata, to szukanie przyczyny, dla której dzisiaj znaleźliśmy się w punkcie, gdzie właściwie wszyscy czekamy na jakiś krytyczny most, który nas poprowadzi gdzieś indziej, być może. Ale właściwie szukamy gdzieś w przeszłości odpowiedzi na pytanie, cośmy w naszej historii ludzkości fałszywego zrobili, żeśmy się tutaj znaleźli, gdzie jesteśmy w tej chwili. I wydaje mi się, że ten materiał próbuje te pytania postawić, szukać gdzieś tej tragicznej sytuacji, gdzie kiedyś, niegdyś sztuka, polityka, obraz Boga, religia, naczelne wartości skondensowały się w jakimś homogennym, społecznie określonym miejscu w osobie Dawida, który niósł w sobie te wszystkie elementy, rozprzestrzenione dziś na całe społeczeństwa, gdzie korespondencja między tymi elementami uległa dużemu zniszczeniu i właściwie nie mamy na to wpływu, my, którzy robimy sztukę, na politykę, politycy na sztukę, sztuka na religię, religia na politykę itd. Naturalnie pewne wpływy istnieją, ale nie są one tak decydujące, jak to było w tamtych czasach, gdy król Dawid miał w sobie te wszystkie atrybuty i gdy świat ten był chyba prostszy.

W tej chwili jesteśmy w takim momencie, że właściwie świat wyraźnie nacechowany jest naszą tęsknotą i tą pewnością transcendencji, która wtedy była. W tej chwili bardzo nam tego brakuje. Łęki mamy wszyscy, pewnie inne, niż mieli ludzie wtedy. Te łęki są w tej sztuce, w tym materiale literackim. Jest bardzo wiele przepięknych pasażów, monologów, które Kajzar napisał wiedząc o tym, że umiera i są to chyba jego najpiękniejsze teksty.

— Jesteś także i w tej inscenizacji, jeżeli tak można powiedzieć, wierny swej własnej, oryginalnej wersji teatru. Jest w tym przedstawieniu wiele odniesień do współczesności. Biblijna przypowieść o królu Dawidzie jest w jakiś sposób na Twojej scenie pełna odniesień do współczesności, swoisty ekspresjonizm i

surrealizm służy do uzyskania efektów formalnych, aktorzy noszą współczesne kostiumy i ta historia o smutnym królu Dawidzie, jego konfliktach i pytaniach, starych jak świat, o sens życia, miłości i śmierci, te pytania stają się dla widza bliskie i znaczące. O to Ci chyba chodziło?

— Chyba tak. W końcu teatr robi się dla ludzi jemu najbliższych. Tu są Niemcy, nie wiem, Polaków przychodzi do tego teatru niestety mało. Młodzież ta chce wiedzieć, po co do tego teatru idzie. Stawiam im pewne pytania i próbuję jakoś na nie odpowiedzieć. To nie jest mój wynalazek. W tym wypadku Kajzar tak po prostu napisał. To jest zderzenie pomiędzy tym, co historyczne, z datami z Biblii, z dzisiejszą refleksją na ten temat. I właściwie ten król Dawid to też nie jest król Dawid, bo to jest próba rekonstrukcji z pozycji współczesnego intelektualisty, artysty, człowieka, który być może chciałby mieć władzę, to, co wtedy by z nią zrobił itd. itd.

— Nie mogę się oprzeć chęci zadania Ci pytania, które mnie od dawna interesuje. Miałoby być dlaczego Twoje przedstawienie, jeśli chodzi o stronę formalną zawierają swolstwa, no i oczywiście zamierzoną brzydotę. Nie ma w nich nic ze stereotypowej urody teatru.

— Nie wiem, czy one są brzydkie. To jest taka moja... lubię coś takiego i po prostu nie mogłem siebie samego gwałcić. Robię taki teatr i taką estetykę, jaką uznaję, która niesie mój intymny problem.

— Teatr „Transform” to teatr w gruncie rzeczy polski, poprzez Twoją osobę przede wszystkim, poprzez występujących gościnnie polskich aktorów, wystawiane polskie sztuki. A jednak osobiście mam uczucie niedosytu. Przed kilku laty inscenizowałeś sztukę Różewicza „Stara kobieta wysiaduje”, a „Król Dawid” Kajzara jest na przestrzeni 5 lat dopiero drugą polską sztuką. Dlaczego jest ich tak mało?

— Nie jest ich mało, bo są dwie. Na kilkanaście inscenizacji była jedna francuska, był collage, który wymyśliłiśmy sami, Garcia Lorca był, czyli Hiszpania, Fugard czyli Południowa Afryka, Kafka czyli Austro-Czechy, Joyce czyli Anglia, Lederach — Szwajcaria, Tabori — Anglia i dwie polskie, czyli Polska ma tu przewagę. Teraz mój wybór, to jest taki problem, że wydaje mi się, że tu w tym miejscu gdzie jestem, wybierałem te polskie sztuki, które trafiają w tutejszy nurt zainteresowań i napięć społecznych. Wybrałem jak dotychczas akurat te dwie sztuki, więc myślę, że nie

tu jest problem. Są takie polskie sztuki, które nalezy tu wystawiać, próbuję je znaleźć, innych nie znalazłem dotychczas.

— A co znajduję się w planach teatru? Czy jest coś polskiego?

— „Operetka” Gombrowicza.

— To na pewno duże przedsięwzięcie, bardzo ambitne, również ze względu na autora. Gombrowicz jest autorem polskim bardzo tutaj znanym, popularnym, grywanym na scenach niemieckich. Ta premiera spotka się na pewno z dużym zainteresowaniem publiczności, ale jest to przedsięwzięcie ogromne. Przecież ta obsada jest bardzo duża.

— Właśnie dzisiaj otrzymałem zapewnienie, że będzie grał Łomnicki, tak jak Jurek (Radziwiłowicz — przyp. J. H.) grał w „Królu Dawidzie”. Staram się obsadzać role dobrymi polskimi aktorami, żeby gdzieś ten właśnie, o czym mówię, polski element w tym teatrze był zresponowany i to nie tylko poprzez moją osobę, ale także przez osoby aktorów, którzy przychodzą tutaj. Mają oni inny sposób myślenia, inną estetykę, inną wrażliwość. Było zderzenie kultur następowało nie tylko na poziomie intelektualnym, także na poziomie innym — warsztatu aktorskiego czy wrażliwości, czy czegoś, co jest specyficzne dla kultury polskiej, czego nie sposób zrozumieć, ale trzeba to pomacać, dotknąć, to „coś” trzeba przeżyć. W tym się kryje rzecz dla mnie bardzo istotna. Przecież noszę w sobie 37 lat życia w Polsce i nie jestem w stanie, i nawet nie chcę dopasować się do tej kultury tutaj. Chcę te dwie kultury po prostu skonfrontować i aktor polski — jeśli dobry — bardzo mi jest w tym pomocny i potrzebny.

— A kiedy przewidujesz premierę „Operetki” Gombrowicza?

— W lecie.

— Z góry się cieszę. Dziękuję za rozmowę.

SPROSTOWANIE

W numerze 1 (122) „Poglądu” [Kronika emigracyjna] podano »Oświadczenie PSL i SPK w Dortmundzie«. Powinno być: »Oświadczenie Koła nr 1 PSL w Dolnej Saksonii i Koła 527 SPK w RFN«

Przepraszamy

Jerzy Radziwiłowicz: berliński „Król Dawid”

Jerzy Hoffmann: Gra Pan w nowym przedstawieniu teatru „Transform” tytułową rolę króla Dawida. Co skłoniło Pana do podjęcia się tego trudnego, także ze względów językowych, zadania?

Jerzy Radziwiłowicz: Przede wszystkim Henryk Baranowski jest moim kolegą ze studiów i razem pracowaliśmy już w szkole teatralnej. To jest jedna rzecz, stare znajomości u podstaw współpracy w Berlinie. Poza tym przygoda teatralna. Chęć wyrwania się z teatru, w którym pracuję na codzień i przeżycia czegoś zupełnie odmiennego, łącznie z językiem. Tak, to jest przyczyzna, która wystarczała, aby wypuścić się na taką pracę, jak „Król Dawid” Kajzara po niemiecku w Berlinie.



— Także na Zachodzie jest Pan aktorem znanym i popularnym. Zachodniobерlińska publiczność zna Pana z wielu filmów zrealizowanych w Polsce i poza Polską, z filmów Wajdy „Człowiek z marmuru” i „Człowiek z żelaza”, a także z przedstawień sztuk Dostojewskiego, które były grane w czasie festiwalu berlińskiego w 1985 roku. Jakie są Pana obecne teatralne doświadczenia, jak czuje się Pan w tym mieście?

— Bardzo dobrze. Jestem zadowolony z tej pracy, z tego co wykonaliśmy. Bardzo miło pracowało mi się z zespołem „Króla Dawida”. Poznałem bardzo sympatycznych ludzi, z czego się najbardziej cieszę, bo to jest najcenniejsze z takich doświadczeń. A poza tym, z przyjemnością gramem to przedstawienie i to jest też istotne.

— Wróćmy jeszcze wobec tego do „Króla Dawida”. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o

swojej koncepcji tej trudnej roli. Co chciał Pan przede wszystkim wyrazić? Pański Dawid jest pełen rozgardnia, konfliktów, bardzo sugestywna to rola, ale podporządkowana także zasadom teatru Baranowskiego. Czy uważa Pan „Króla Dawida” za swoją ciekawą rolę?

— Proszę Pana, trudno mi to powiedzieć. Z mojego punktu widzenia oczywiście tak, dlatego, że złożyło się na to kilka rzeczy. Jak to wygląda z zewnątrz, tego nie wiem, Pan wie lepiej. Natomiast dla mnie jest to rzecz o tyle ciekawa, że po pierwsze, jest to zawsze ciekawe uczucie zetknięcia się z tekstem otwartym, takim właśnie jak tekst Kajzara, niedokończony tekst, w którym pozostają jeszcze wszelkie możliwości. Po drugie — zetknięcie się ze sceną teatralną, w której nie pracuję, zetknięcie z inną estetyką zawsze jest niezwykle interesujące. Po trzecie — wydaje mi się, że w tym tekście jest kilka rzeczy bardzo pięknych i bardzo istotnych, szczególnie poprzez sposób, w jaki Henryk to próbował zrobić i zrobił, tzn. poprzez dochodzenie do sensu tych słów, które napisał autor. Ponieważ to jest tak napisane, jak... no, jest pewna zagadka w tym tekście i taka technika pracy, robienia przedstawienia i grania go potem, że gdzieś tam próbuje się dojść do sensu słów, za każdym razem, aby zrozumieć tekst, przy każdym przedstawieniu jest dość frapująca i dotknięcie tego rodzaju pracy wydaje mi się dość ciekawą rzeczą.

— Niebawem wraca Pan do Polski. Czy wolno wiedzieć, jakie są Pana najbliższe plany artystyczne?

— Tak. Już zacząłem próby reżyserskie w teatrze z Jerzym Jarockim, który robi przedstawienie skomponowane przez siebie z tekstów Różewicza. Mam nadzieję zrobić to do końca lutego, tzn. dać premierę w Krakowie. To jest najbliższa rzecz, nad którą pracuję.

— A filmowe?

— Najprawdopodobniej w początku marca zacznę zdjęcia do „Biesów”, filmu produkcji francuskiej w reżyserii Andrzeja Wajdy.

— Filmu, który zresztą był już od dawna planowany, prawda?

— Od dość dawna Andrzej Wajda próbował robić ten film, ale jakoś nie wychodziło mu z terminami. I nie bardzo mógł się do tego zabrać, no a w tym roku wszystko wygląda na to, że za półtora miesiąca zaczną się zdjęcia do „Biesów”.

— Dziękuję za rozmowę.

WIKTOR GROTCWICZ

Inwazja Afgańczyków na ZSSR i inne cuda

Cud. To słowo już straciło na popularności i wiarygodności. Nie używa się go prawie wcale w cywilizowanych stronach naszego świata, a jeżeli już, to raczej półgębkiem i zawsze ironicznie, z kilkakrotnie podkreślanym cudysłowem. Cuda jednak zdarzają się i to wcale nie rzadko, jak można by sądzić po wydawnictwach kościelnych z tej czy tamtej strony zaczarowanej granicy. Cudowny jest już sam fakt, iż częstotliwość tego zjawiska jest bezsprzecznie większa w krajach rządzonych naukowo-ateistyczną doktryną niż na obszarach objętych zwątpieniem, ośpieniem i przewartościowaniem moralno-społecznym, wynikającym z wszelkiego nadmiaru. A przecież ten właśnie obszar powinien stanowić o wiele lepszą glebę dla zjawisk nadprzyrodzonych niż kostniejące w marksistowskim uścisku narody Europy Wschodniej. Oczywiście i tutaj (na Wschodzie), czas i osiągnięcia cywilizacyjne zrobiły swoje. Nie ma już cudów samych z siebie, jakby od niechcenia, niespodziewanych i o zaskakujących kształtach. Dzisiaj, by stało się coś nieprawdopodobnego, trzeba przygotować odpowiedni grunt, przemyśleć i opracować okoliczności towarzyszące, wyczuć atmosferę i przewidzieć wszystkie konsekwencje zstąpienia cudu. Skoro, jak się rzekło, kraje położone poza obszarem oddziaływania dobrobytu najbardziej narażone są na cuda, logiczne jest, iż metody wywoływania tych zjawisk najlepiej opracowane są właśnie na tym terenie. Zająmują się tym całe sztaby specjalistów podzielonych na różne grupy i kategorie, ale nie jest to najważniejsze. Najważniejszy jest efekt.

Kilka miesięcy temu minęła niepostrzeżenie (jak prawie zawsze w tego typu przypadkach), trzecia rocznica zestrzelenia nad terytorium ZSSR pasażerskiego samolotu koreańskich linii lotniczych z 269 osobami na pokładzie. Fakt oczywisty, zbrodnia wyraźna aż do przerażenia, rozkazodawcy znani, narodowość i obywatelstwo mordercy nie do podważenia. Ale już w kilka dni po tragedii okazało się, iż ani rozkazodawcy nie są tymi, za których ich brano, ani morderca z kra-

ju, o którym myślano. Co prawda zbrodnia pozostała zbrodnią, ale jej prawdziwe okoliczności i prawdziwi sprawcy ukazali się nieco później zdziwionemu światu (za pośrednictwem agencji TASS i kilku zachodnich gazet powtarzających jej wersję). Zbrodni dokonali Amerykanie, a bezpośrednim wykonawcą była CIA, na polecenie której wsadzono do samolotu 240 pasażerów i 29 członków załogi i wysłano nad terytorium ZSSR, by spowodować zestrzelenie i upiec dwie brudne pieczenie przy jednym ogniu podsycanym płomieniem imperialistycznej nienawiści. Jedna pieczeń to możliwość wszczęcia „bezprecedensowej w swych rozmiarach i niewiarygodnie bezczelnej oraz sprzecznej z ogólnie przyjętym rozumieniem stosunków między państwami, kampanii propagandowej” przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Druga to setki zdjęć satelitarnych z całego wypadku, na których uwieczniono rozmieszczenie i sposób funkcjonowania sowieckiej obrony przeciwlotniczej. Perfidia sprawców (tych prawdziwych, nie tych sprzed cudu) nie znała granic. Aby odsunąć od siebie podejrzenia wsadzili do Boeinga własnego kongresmana.

Siedem lat temu wojska sowieckie przekroczyły granicę Afganistanu i dokonały na jego terytorium operacji wojskowej zwanej inwazją. Olbrzymia większość społeczeństwa afgańskiego traktuje najeźdźców jak najeźdźców, znaczna część podjęła walkę zbrojną z obcą armią, a tylko nieliczni odnoszą się do agresorów jak do sprzymierzeńców. Pozornie, pozornie... Prawda jak zwykle wylezie kiedyś na wierzch, a już teraz mają od czasu do czasu miejsce przebłyski, rozjaśniające w cudownym oka mgnieniu korzenie konfliktu w Afganistanie.

W ZSSR ukazało się szereg opracowań na ten temat, usiłujących dotrzeć do sedna konfliktu i motywów strzelaniny na tamtym terenie. Jednym z jaśniejszych takich przebłysków jest sztuka tatarskiego autora Kaszafa Amirowa zamieszczona w miesięczniku *Teiatr* po tytule *Kraj palącego słońca*, a tylko patrzeć, jak jakiś niezależny, za-

chodni wydawca dobierze się do tekstu i dokona tłumaczenia. Z dwóch głównych wątków: miłości sowieckiego robotnika Hasana do afgańskiej dziewczyny oraz dramatycznych wydarzeń zakończonych wspomnianą strzelaniną bardziej interesujący jest ten ostatni. Cała akcja dzieje się w obozie sowieckich geologów szukających na terenie Afganistanu ropy. Na pytanie jednego z Afgańczyków, po co szukają jej tutaj, skoro u siebie mają tak dużo, Hasan odpowiada: „Dla was jej poszukujemy. Dla was, rozumiesz? Pragniemy, aby wam się lepiej żyło, aby nie było w waszym kraju głodu, abyś ty mógł się uczyć”. W dalszej części dramatu ludzie sowieccy spokojnie pracują dla ludzi afgańskich, wieś afgańska (uspołeczniona) spokojnie żywi ludzi sowieckich, a nafta wesóło tryska. Nagle pojawia się z terenu Pakistanu dawny obszarnik, właściciel uspołecznionej wioski. Zjawia się oczywiście nie sam, ale z bandą podobnych mu wsteczników i całą kupą amerykańskiej broni. W obozie geologów konsternacja, bowiem jak powszechnie wiadomo, ludzie sowieccy przebywający w obcym kraju mają zakaz używania broni i „powinni czekać na przerwanie blokady z zewnątrz”. Nie ostrzelują się więc z kałasznikowów, ale pomagają wieśniakom w zbieraniu plonów, by chronić je przed zniszczeniem. Hasan nie doczekał jednak zaplanowanych dożynek — zostaje trafiony kulą z automatycznego, wyposażonego w optyczny celownik, karabiny produkcji amerykańskiej. Nad jego ciałem pojawia się zapalająca afgańska dziewczyna oraz kilka sowieckich helikopterów odpędzających nastpników. Koniec.

Równie interesujące jest postawienie do tej sztuki prof. Chaczurowa, doktora nauk historycznych. Otóż utwór ten „unaocznia najwyższy przejaw socjalistycznego internacjonalizmu, ukazując gotowość człowieka sowieckiego do poświęcenia własnego życia w imię wolności innego narodu”. Przy tej okazji profesor wspomina także ofiary, jakie ponieśli ludzie sowieccy w utrwalaniu ideałów komunizmu i internacjonalizmu w Azji Mniejszej, Europie, Chinach i Korei. „Dzisiaj swój internacjonalistyczny obowiązek ludzie sowieccy z honorem wypełniają na ziemi afgańskiej, na której toczy się zorganizowana przez Waszyngton, a nigdy przezeń nie wypowiedziana, wojna.”

Sprawa przedstawia się więc następująco. Wojnę w Afganistanie rozpoczęły (nie wypowiadając jej), Stany Zjednoczone. Obywatele so-

wieccy obecni w Afganistanie szukają złóż mineralnych dla ludności tubylczej i pomagają w zniwach (siódmym już). Helikoptery zjawiają się tylko po to, by odpędzić bandy byłych obszarników. Cud? Cud. Nie można przecież tego nazwać zwykłym igrasstwem.

Zjawisko to nie omija także naszego kraju, chociaż jego skala jest odpowiednio mniejsza. Mieliśmy cuda gospodarcze, narodowe, polityczne. Jednym z bardziej spektakularnych był cud wprowadzenia i zniesienia stanu wojennego. Na pytanie, dlaczego go zniesiono, najprostszą odpowiedzią jest: „dlatego, że go wprowadzono”, ale w takiej ripostie nie ma nic z elementu, którego szukamy. Z trybuny sejmowej padła inna odpowiedź. Stan wojenny zniesiono, bo zdołano obronić naród przed niebezpieczeństwem, niebezpieczeństwem niezależności, samorządności i związkowości. W sumie wychodzi na to, że obroniono naród przed nim samym. Zwyczajny dyktator w zwyczajnym kraju totalitarnym znosi stan wyjątkowy czy obostrzone represje wtedy, gdy jego władza, lub interesy warstwy społecznej przez niego reprezentowanej, przestają być zagrożone. I rządko próbuje to ukryć, bo i tak wiadomo, o co chodzi. Reżymy lewicowe, ludowe czy swojskie władzy nie chcą, a więzienia zapelniają jedynie dla dobra więzionych. Tak więc stan wojenny wprowadzono, bo naród zamachnął się sam na siebie, zniesiono go, bo przestał się zamachiwać.

Mamy za sobą jeszcze świeży cud amnestyjny. Rząd, który kilka dni przed ogłoszeniem tej ustawy zamykał w więzieniach licealistów za wydawanie szkolnego pisemka, a drukowanie wierszy na powielaczku nazwał „próbą obalenia ustroju siłą”, nagle doszedł do wniosku, że jest na tyle silny, iż zadne „ekstremy” czy „elementy antysocjalistyczne” mu nie zaszkodzą i wypuścił prawie wszystkich więźniów politycznych. Ale nie tylko. Wypuszczono też kilka balonów rozpoznawczokamufliujących, by jeszcze bardziej podkreślić dobrą wolę generała i jednocześnie pomniejszyć rolę opozycji w całej sprawie. Ceną za wypuszczenie więźniów i rozwiązanie się podziemia mają być jakieś rady „doradczorozejmowe”, w skład których, obok wypróbowanych PRON-owców, weszliby także mniej radykalni opozycjoniści. Inna pogłoska przebąkuje coś o reaktywowaniu niezależnych związków zawodowych (tylko na szczeblu zakładowym). Z balonów powoli wychodzi powietrze, co nie przeszkadza jednak za-

chodniej prasie w opisywaniu domniemyanych, następnych kroków generała na drodze ku porozumieniu (z narodem) i nawiązaniu stosunków (z Zachodem). Zachodniemieckie dzienniki spekulują już nawet na temat reaktywowania całej „Solidarności” i wprowadzenia rzeczywiście prawdziwie prawdziwej reformy gospodarczej. W czym oczywiście nie powinno się generałowi przeszkadzać jakimiś tam nowymi żądaniem na temat praw związkowych i obywatelskich w PRL. A generał (nie po raz pierwszy), przemienia się z szefa junty w reformatora o myślącym i ludzkim obliczu. Jakże tu nie mówić o cudowności?

Zjawisko to pomimo piramidального wyglądu odgrywa niepoślednią rolę w tzw. polityce światowej. Na te cuda nabierają się przecież nie „dyplomaci” z RWPG, ale zaprawione w bojach parlamentarnych zachodnie, polityczne wygi. Niektórzy z nich wierzą lub (co ostatnio częściej się zdarza, bowiem o zdziwionych-naiwnych coraz trudniej) będą udawali, że wierzą, wykorzystując parawan obłudy rozstawiony wokół niektórych zdarzeń, parawan łagodzący wymagające moralnego sprzeciwu fakty i umożliwiające podanie ręki oprawcy.

A wszystkiemu winna semantyka. Zdanie: „koleś, nie wciśnij ciemnoty” jest nieprzetłumaczalne na żaden język świata. A szkoda. ■

Z Paryża...

Ewa Darmas

FRANCUSKIE NIEPOKOJE

Niedawno francuska telewizja pokazała reportaż o Chiracu. Nie mówiło się w tym reportażu o polityce, ale o życiu prywatnym premiera, najprostszych zyciowych sprawach, na ile oczywiście znany polityk chciał je ujawnić. Opowiadał więc Chirac o swoim dzieciństwie, rodzicach, pierwszych przyjaźniach. Pewna wiewkowa staruszka z miasteczka, gdzie spędził młode lata, stwierdziła, że jako dziecko był bardzo „militki”. Inna pani (tym razem młoda), członkini RPR, macierzystej partii Chiraca, dodała od siebie, że premier jest pięknym mężczyzną. A na pytanie reportera, co jej zdaniem jest w Chiracu takiego urodziwego, odpowiedziała zarliwie: „wszystko”. Można się było z tego reportażu m. in. dowiedzieć, że premier nie przepada za luksusem i jest praktykującym katolikiem. W sumie brzmiało to wszystko dość sympatycznie, a sympatia jest czymś, czego aktualnie premierowi najbardziej potrzeba, bowiem ostatnie miesiące znacznie nadzrzepnęły jego popularność. Co za tym idzie — szanse Chiraca w zaplanowanych na 1988 rok wyborach prezydenckich nie są już tak optywiste.

Wszystko zaczęło się pod koniec listopada ubiegłego roku, kiedy całą Francję ogarnęły studenckie strajki. Za pretekst postużył nowy projekt reformy szkół wyższych, przewidujący m. in. wprowadzenie pewnej selekcji przy przyjmowaniu na uniwersytety. Z wyjątkiem kilku znanych szkół wyższych, gdzie obowiązują egzaminy, na francuski uniwersytet może się zapisać każdy, posiadający maturalne świadectwo. Selekcja następuje tak czy inaczej na pierwszym roku studiów, kiedy znaczna część studentów odpada, nie dając sobie rady z nauką. Francuzi są bardzo przywiązani do hasła „egalité” (choć w praktyce bardzo różnie to wygląda) i w imię tegoż „egalité”, czyli równych szans dla wszystkich, młodzież francuska zaprotestowała. Studenci kilkudziesięciu uniwersytetów przerwali naukę i wyszli na ulice. Początkowo mówili się tylko o pewnych zmianach w samym projekcie, ale w miarę rozwoju wypadków i radykalizowania się ruchu — o całkowitym wycofaniu projektu reformy. Rząd Chiraca postanowił jednak utrzymać zdecydowany kurs i nie ustępować studentom, do których w międzyczasie przyłączyli się również licealiści. Chirac nie przewidział jednego — że z młodzieżą, ze swej natury o wiele bardziej radykalną od dorosłych i mającą o wiele mniej do stracenia, będzie trudniej dać sobie radę, niż np. ze strajkującymi związkami zawodowymi. Wypadki przybrały więc lawinowy charakter.



Na ulice i place Paryża wyszły dziesiątki tysięcy młodych ludzi, w Dzielnicy Łacińskiej zaczęto demolować sklepy i podpalać samochody, do akcji wkroczyła policja. Między innymi lotne brygady na motorach, które siały postrach nie tylko wśród demonstrantów, ale również zagubionych w tym wszystkim przechodniów, którzy chcieli dostać się do domów. Pech sprawił, że pod pałkami policjantów zginął 22-letni student, z pochodzenia Algierczyk.

Od tego momentu przegrana rządu była przesądzona. Na wieść o śmierci studenta na ulice wyszła już nie tylko młodzież, ale także rodzice i dziadkowie. Wszyscy z przypłytemi po lewej stronie piersi maymi, czerwonymi tarczami. Pod paryskim merostwem tłum skandował „Pasqua morderca!”.

Charles Pasqua, Korsykanin mówiący z wyraźnym południowym akcentem, jest ministrem spraw wewnętrznych. Ankiety wykazały, iż wśród Francuzów nie cieszy się on popularnością. Nic dziwnego — od początku jego rządów francuska policja zachowuje się coraz brutalniej. Powtarzają się np. akcje w metrze, gdzie blokuje się wyjścia, sprawdzając wszystkim dokumenty. Dzieje się to w ramach walki z terroryzmem i nielegalną imigracją, w sumie jednak dostaje się i Francuzom. Dostaje się dosłownie, bo w ostatnich miesiącach kilka osób zostało zastrzelonych z rąk policjantów, przez, że tak powiem, przypadek. Pasqua po śmierci studenta popełnił duży nielakt, występując w telewizji z „twardym” przemówieniem, połączonym z wizualnymi efektami w postaci bicia pięścią w stół.

Drugi gruby nietakt popełnił Chirac. Gdy tłumy krzyczały pod merostwem „morderca”, a paryskimi ulicami przeciągały żałobne pochody, gdy składano kwiaty w miejscu, gdzie zginął Malik — Chirac i jego partia obchodzili huczny jubileusz. Jubileusz w stylu amerykańskim — z panienkami w charakterze doboszy i cyrkowymi pokazami. Odwołano tylko bal, ale i tak ten radosny cyrk pozostawił dostateczny niesmak. Chirac przegrał i to, niestety, w złym stylu. Zabrakło mu politycznej intuicji, by poczynić ustępstwa w odpowiednim momencie. Projekt reformy szkół wyższych został całkowicie wycofany. Zresztą faktycznie był on tylko pretekstem do wywołania studenckich niepokojów, żywo przypominających rok 1968. Wielkie manifestacje francuskiej młodzieży były przede wszystkim wyrazem jej niepokojów o przyszłość w okresie ogromnego bezrobocia, inflacji, kryzysu ekonomicznego.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy Francja stała się sceną kolejnej fali strajków. Tuż przed świętami zaczęły kolejarze. Zbiegło się to akurat z wyjazdami na zimowe ferie. Tysiące ludzi godzinami wyczekiwali na dworcach, licząc desperacko, że jakiś pociąg będzie miał wreszcie normalny kurs. Niebawem do kolei przyłączyli się pracownicy metra, co spowodowało w Paryżu, który i tak coraz mniej nadaje się do jazdy samochodem, gigantyczne korki.

Miary dopełnił strajk pracowników elektrowni i gazowni. Dotychczas w podobnych przypadkach starali się oni zachować normalny rytm pracy. Tym razem jednak poszli na całego. W niektórych dzielnicach i na obrzeżach Paryża odcięto prąd. Związkowcy z CGT, komunistycznego związku zawodowego, którzy wiedli prym w organizowaniu tych strajków, twierdzili, że są to „dzikie” i nie zaakceptowane przez związek poczynania. Ale fakt był faktem i wprowadził wiele zamieszania i szkód. W odpowiedzi na to RPR zorganizowała w Paryżu manifestację przeciwko strajkującym. Na ulice wyszły też działacze skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, oświadczać, że ich protest jest skierowany zarówno przeciwko strajkującym, jak i polityce rządu. To już przypominało prawdziwą groteskę.

Strajki pracowników sektora publicznego powtarzają się we Francji w ciągu ostatnich lat regularnie. Powodem jest często żądanie podwyżki płac, rzeczywistnie dość skromnych w tej grupie zawodowej. Tak samo było w ostatnim przypadku, przy czym pracownicy kolei i metra żądali również zwiększenia ilości dni wolnych od pracy. Tymczasem „Nouvel Observateur” dokonał porównania zarobków i wymiaru godzin pracy kolejarzy francuskich, zachodnio-niemieckich i angielskich. Otóż okazuje się, że Francuzi zarabiają nieco więcej, niż ich koledzy z RFN i Anglii, a ich tygodniowy wymiar pracy jest niższy od 7 do 14 godzin, niż w wymienionych krajach. I na domiar wszystkiego kolejarze niemieccy są pozbawieni prawa do strajku.

„Toujours plus!” (ciagle więcej) — tak zatytułowała swoją słynną książkę o awantazach pracowników sektora publicznego, Francois Closets. I rzeczywiscie „ciagle więcej” jest stałym motywem działania tej grupy pracowników, która absolutnie przestała się oglądać na interesy całego społeczeństwa.

W ciągu ostatnich dni mówi się we Francji już nie tylko o kryzysie ekonomicznym, ale również wielkim kryzysie społecznym. Strajki, manifestacje antystrajkowe oraz takie, jak Frontu Narodowego przeciwko wszystkiemu i wszystkim — dowodzą, że Francuzi zaczynają tracić zdolność do prawdziwego dialogu i kompromisów. Dziwacznym układa się również współzrządzenie prezydenta—socialisty z prawicowym premierem. Mitterrand przyjął generalną zasadę nieingerowania w to, co aktualnie dzieje się w kraju, a jeżeli już, to z pozycji

bezbstronnego mediatora, dobrego ojca narodu. Całe obecne niezadowolone społeczeństwo skupia się więc na Chiracu, natomiast akcje Mitterranda rosną. Ostatnie badania opinii publicznej wykazują, że od czasu wyborów parlamentarnych w ub. roku popularność prezydenta znacznie zwiększyła się. Okazał się świetnym taktikiem, ale czy na tym zyskuje i zyska w przyszłości Francja?

Z Kopenhagi...

Roman Śmigielski

Od 1. 01. 1987 roku tydzień pracy w Danii liczy 39 godzin, a podpisane niedawno między związkami zawodowymi i pracodawcami umowy zbiorowe przewidują, że Duńczycy od 1990 roku pracować będą 37 godzin tygodniowo. Wyszwane od paru lat postulaty związków, domagających się 35-godzinnego tygodnia pracy spotkały się więc z częściowym sukcesem. Wart podkreślenia jest tutaj fakt, że zmniejszenie czasu pracy nie pociąga za sobą odpowiedniego zmniejszenia zarobków, lecz wprost przeciwnie, przewiduje się, że do 1990 roku będą one rosły od 2 do 5 % rocznie. Postulat 35-godzinnego tygodnia pracy wysuwany przez większość zachodnioeuropejskich związków motywowano nie tylko tym, że chcą oni poświęcić więcej czasu dla swoich rodzin, lecz także solidarnością ze swymi bezrobotnymi kolegami, którzy dzięki temu będą mieli większe szanse na otrzymanie pracy. Teoretyczne obliczenia wskazują na to, że zmniejszenie czasu pracy w tygodniu o jedną godzinę może wpłynąć na wzrost zatrudnienia o 2,5 %. W praktyce procent ten będzie zapewne niższy, ale nikt nie ma wątpliwości, że zatrudnienie wzrośnie.

Podczas gdy w Europie Zachodniej 35-godzinny tydzień pracy staje się sprawą realną, w Japonii pracuje się 48 godzin tygodniowo. Ponad 90 % firm w tym kraju pracuje w soboty, które od prawie 20 lat są w Europie Zachodniej wolne. Japońskie Ministerstwo Pracy opracowało co prawda raport nawołujący do zmniejszenia tygodnia pracy do 40 godzin, spotkał się on jednak z olbrzymim oporem wśród pracodawców. Przewiduje się, że 40-godzinny tydzień pracy w Japonii może być realny najwcześniej za 10 lat. Warto też dodać, że gdy np. w Danii pracownik po przepracowaniu 1 roku ma prawo do maksymalnego 5-tygodniowego urlopu, to urlop w Japonii wynosi maksymalnie — po przepracowaniu 15 lat — 20 dni, a minimalnie 6 dni, do czego dolicza się 1 dzień za każdy przepracowany rok. Mimo to okazuje się, że japońscy pracownicy wykorzystują swoje urlopy tylko w 50-60 %, a 33 % ich zarobków stanowi zapłata za nadgodziny.

Badania opinii publicznej w kraju kwitnącej wiśni wykazują, że 76 % zatrudnionych wolałoby pracować 5 dni w tygodniu. Jednocześnie 57 % wypowiedziało się przeciwko 5-dniowemu tygodniowi nauki w szkołach. Wiele japońskich dzieci po zajeściach w normalnej szkole uczęszcza do prywatnych szkół wieczorowych, gdzie zajęcia trwają mogą nawet do północy. A wiadomo — czym Jaś (jak jest Jaś po japońsku?) za miodu... nasiąknie, tym na starość trąci.

Nie sądzę, by zbudowanie drugiej Japonii gdziekolwiek w Europie było możliwe. Cena, jaką potomkowie samurajów płacą za sukces gospodarczy swojego kraju, jest raczej nie do zaakceptowania przez Europejczyków.

ZBIGNIEW SKRZYPCZAK

Z notatnika rzecznika

Na podstawie danych z ubiegłego roku Główny Urząd Statystyczny wyłonił z całej gospodarki to przedsiębiorstwo, które dało w ubiegłym roku najwięcej produkcji ponad plan. Największą wartość tej produkcji wyniosła 80 %, a jedynym przedsiębiorstwem w skali całego kraju, któremu udało się osiągnąć ten wysoki wynik jest Mennica Państwowa.



rys. Robert Szczołka

Jako nagrodę za tak wydajną i potrzebną krajowi produkcję dyrekcja Państwowej Drukarni Papierów Wartościowych, w porozumieniu z Pierwszym Prezesem Narodowego Banku Polskiego wydała zezwolenie na wykorzystanie przez załogę pierwszej z wolnych sobót miesiąca lutego w celu wydrukowania sobie gratyfikacji. Decyzja ta została spowodowana nie tylko faktem zwycięstwa w ogólnopolskim współzawodnictwie, lecz także w dużej mierze tym, iż wolumen produkcji dostarczonej w ubiegłym roku na rynek przez Mennicę Państwową jest największy w historii od czasów reformy walutowej ministra Grabskiego w 1924 roku.

Także i w bieżącym roku zakład stawia sobie ambitne plany. Najważniejszym z nich jest uruchomienie tak obecnie ważnej produkcji antyimportowej. Od samego bowiem wyzwolenia prowadzone są prace badawcze na terenie Muzeum Papieru w Dusznikach Zdroju, gdzie w pierwszej połowie lat 40-tych mieściła się niemiecka fabryczka funtów angielskich oraz dolarów USA. Z tym, że do tej pory uzyskiwany produkt nie pozwalał na nic więcej, jak tylko na okazjonalne zakupy owoców egzotycznych i to wyłącznie bezpośrednio od producenta. Jednakowoż niedawno okazało się, iż wysiłek naszych specjalistów dobrze zainwestowano, ponieważ w Dusznikach Zdroju wydrukowano dolary tak dobre, że rzeczoznawcy NBP i Polskiej Normy zgodnie stwierdzają, iż uzyskany produkt „w niczym nie ustępuje analogicznym fabrykatom, a nawet je przewyższa”.

W bieżącym roku planuje się wybicie nowej monety poświęconej piątej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego, co ma służyć idei porozumienia narodowego reprezentowanej przez I-go Sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego. Projekt monety przygotował artysta-plastyk Maksymilian Polkurek mający na swym koncie udane prace okolicznościowe dla Edwarda Gierka (1970), Jana Pawła II (1978), Lecha Wałęsy (1980), dwie prace dedykowane Mieczysławowi F. Rakowskiemu „Vae Victis” (1982) i „Vae Victis II” (1985).

Na rewersie nowej monety znajduje się orzeł w czarnych okularach oraz rocznicowy nominal „pięć patyków”, natomiast awers monety przedstawia pełną realizmu scenę balistyczną z pierwszej bitwy, w której tow. generał dowodził dużymi zgrupowaniami wojsk. Na obrzeżu monety rozmieszczony został okolicznościowy napis „13 GRUDNIA 1981 — KOPALNIA WUJEK”.

W połowie stycznia '87 wystąpiła w Rzymie reprezentacja Polski w składzie: Zbigniew Boniek (atak), Wojciech Jaruzelski (rozgrywający, kapitan drużyny), tow. Adam Łopatka (pomoc), major Ambroziewicz z „tętetką” (obrona).

W rozgrywce z premerem Włoch nasi reprezentanci odnieśli tylko częściowy sukces, mimo spełnienia wszystkich założeń taktycznych trenera Michała G. Spotkanie rozstrzygnął premier Włoch stwierdzając, iż pieniędzy nie da, bo wziął z domu same drobne, lecz jednocześnie zgodził się na przejęcie kosztów za taksofów, co uratowało przynajmniej kwartalny budżet dewizowy PRL, zaś poruszanie się naszych reprezentantów po mieście na piechotę bez gruntownej charakteryzacji nie wchodziło w ogóle w rachubę.

Drugiego dnia nasza drużyna spotkała się z Karolem Wojtyłą alias Janem Pawłem II — szefem międzynarodowej, wrogiej PRL organizacji zwanej także Kościołem katolickim. Rozmowa zakończyła się przyjęciem przez obydwie strony tezy tow. Wojciecha Jaruzelskiego „Polak z Polakiem zawsze się dogada”. Jest to dopełnienie dwóch wcześniej powstałych tez, stanowiących credo polityczne PZPR: „Polak Polakowi — bratem” (1980) i „Polak Polakowi — batem” (1981).

Ostatni dzień wizyty okazał się dla naszej reprezentacji najmniej pomyślny. Najpierw na spotkaniu z włoskimi związkowcami tow. Jaruzelski na większą część pytań musiał udzielić jednakowej odpowiedzi: „Nie rozumiem po włosku”, mimo iż część uczestników spotkania miała przygotowane pytania po polsku. Natomiast po południu nasza delegacja gorliwie szukała pomnika armii radzieckiej, którego jednakże nie można było znaleźć. Ostatecznie służbowa wiązanka została złożona na miejscowym Grobie Nieznanego Żołnierza, chociaż to przecież nie to... W celu uniknięcia podobnej sytuacji w przyszłości szef rządu polskiego zwrócił się do burmistrza Rzymu o wyraźne zaznaczenie tej drogi na mapie, wyrażając jednocześnie swe najgłębsze oburzenie z powodu tak fatalnego jej oznakowania. Niezależnie od tego identyczne zadanie otrzymała siatka polskiego wywiadu na terenie Italii.

Wizyta naszej delegacji w Rzymie przyniosła poważne skutki zagraniczne i jeszcze poważniejsze krajowe. Oto co minister Kiszczak śpiewał sobie pod nosem (na melodię Rosiewicz „Chłopcy radarowcy”) jadąc na Okęcie w celu powitania wracającej delegacji:

Znów wtrąćmy do więzienia
tych co wyszli za sumienia.
W imię polskiej racji stanu
po powrocie z Watykanu.

Niech nie narzekają
i tak dobrze mają.
Tacy by za Berii
zgnili na Syberii.

Szpital z komfortem ... A może wolelibyście Państwo w szpitalu prywatne leczenie?

To jest możliwe – również wtedy gdy jesteście ustawowo ubezpieczeni na wypadek choroby. Poprzez uzupełniające ubezpieczenie w Deutscher Ring. Korzyści Państwa:

- prywatny pacjent w szpitalu własnego wyboru z pełnym komfortem w jedno- lub dwuosobowym pokoju
- prywatne leczenie przez lekarza obdarzonego Państwa zaufaniem
- lub według wyboru gotówka do swobodnej dyspozycji

Udzielam Państwu porad w języku niemieckim. Również we wszystkich innych zapytaniach dotyczących ubezpieczeń, oszczędzania na cele budownictwa, ulokowania kapitału.

Christina Focken, Generalagentin
Kaemmererufer 20
2000 Hamburg 60
(040) 270 29 29

Deutscher Ring 
Ein Ring für alle Fälle.
Versicherungen · Bausparen · Kapitalanlagen

Kiepskie widoki?

Ustawowa renta, która się Państwu jako pracownikowi należy, ledwo wystarczy aby ponieść koszty utrzymania życiowego.

- Zapewnicie sobie dlatego już dziś finansową swobodę ruchu na później!
- Prywatne ubezpieczenie na poczet rent dożywotnich w Deutscher Ring jest dla każdego interesujące, kto zamierza utrzymać swój przywykły standard życiowy i chciałby czynnie ukształtować swój wolny czas.

Udzielam Państwu porad w języku niemieckim. Również we wszystkich innych zapytaniach dotyczących ubezpieczeń, oszczędności na cele budownictwa, ulokowania kapitału.

Christina Focken, Generalagentin
Kaemmererufer 20
2000 Hamburg 60
(040) 270 29 29

Deutscher Ring 
Ein Ring für alle Fälle.
Versicherungen · Bausparen · Kapitalanlagen

KRONIKA EMIGRACYJNA

SYMPOZJUM W REICHSTAGU

Pozostając w strefie wpływów SPD Fundacja im. Friedricha Eberta zorganizowała w dniach 9-10 bm. w gmachu Reichstagu sympozjum na temat Europy Środkowej. W trosce o możliwie obiektywny charakter spotkania zatytułowanego „Europa Środkowa: marzenie, zmora, rzeczywistość” (Mitteleuropa: Traum, Alptraum, Realität) organizatorzy zaprosili szereg znakomych politologów reprezentujących nawet krańcowo różne poglądy. Wśród zaproszonych gości byli m. in.: dr Peter Bender, dziennikarz i komentator polityczny z Berlina, dr Paul Lendvai, redaktor naczelny radia i telewizji w Wiedniu (ORF), Wolf-Jobst Siedler, wydawca z Berlina, Willem Brugsma, dziennikarz z Hagi, Dietrich Spangenberg, kierownik berlińskiego biura Fundacji Friedricha Eberta, dr Karl Schlögel, historyk z Berlina, dr Martin Pollack, dziennikarz z Wiednia, dr Joachim Braun, dziennikarz i komentator polityczny z Berlina oraz dr Joseph Rován, profesor Sorbony. Uczestnikiem sympozjum był również oficjalny dziennikarz z PRL Michał Kołodziejczyk (PAX).



Uczestnicy konferencji.

Pierwszy dzień obrad wypełniła prawie w całości dyskusja z udziałem blisko 200 uczestników sympozjum na temat: „Przerzucanie mostów pomiędzy Europami, utracenie centrum, zachodni i wschodni Środkowoeuropejczy” (Brückenschläge in Europas, verlorene Mitte, westliche und östliche Mitteleuropäer).

Mimo różnego zabarwienia wypowiedzi wynikającego najczęściej z odmiennych orientacji politycznych mówców, dyskutanci w zasadzie zgodni byli co do faktu, że nie może być mowy o rozwiązaniu problemów Europy Środkowej bez rozwiązania kwestii podzielonych Niemiec. Dr Paul Lendvai (emigrant z Węgier 1957) zwrócił nawet uwagę, że modne obecnie pojęcie „Europa Środkowa” nie może być narzędziem w bagatelizowaniu tego problemu. Przypomniał o częstych zarzutach rewanżyzmu, kierowanych tylko pod adresem RFN, wykazując paradoksalność tego jawiska. Nikt dzisiaj nie zarzuca przecież rewanżyzmu Austrii.

Emocji wywołanej oficjalnym stanowiskiem PRL w tej sprawie nie zmniejszył nawet brak zapowiedzianego wystąpienia Mieczysława Rakowskiego, który ze względu na chorobę odwołał w ostatniej chwili swój przyjazd. Pogląd, że warunkiem dalszej „europelizacji” Europy jest trwały podział

Niemiec, że gwarantem bezpieczeństwa zachodniej granicy PRL jest Związek Sowiecki i że nie można sobie wyobrazić istnienia Europy bez Związku Sowieckiego dzielnie reprezentował Michał Kołodziejczyk. Jego wypowiedzi były tym bardziej oburzające, że jest on kierownikiem działu zagranicznego *Słowa Powszechnego*. Arogancja wystąpienia Kołodziejczyka polegała m. in. na formułowaniu wypowiedzi w imieniu całego narodu. Jak skłusznie zauważył jeden z uczestników dyskusji, określający siebie jako czytelnika polskiej prasy podziemnej, wielokrotnie spotykał się on z artykułami polskich publicystów reprezentujących stanowisko, że rozwiązanie problemów suwerenności krajów Europy Środkowej nie może się dokonać bez zjednoczenia Niemiec, a co za tym idzie niemożliwe jest, by stanowisko pana Kołodziejczyka było reprezentatywne dla 36 mln Polaków. Kontrargument Michała Kołodziejczyka, że polska prasa ukazująca się poza zasięgiem cenzury jest finansowana i sterowana przez zachodnie koła imperialistyczne i nie jest miernikiem poglądów społeczeństwa polskiego, spotkał się z natchmianową repliką prof. Rována, który przypomniał, że również w Niemczech przed wybuchem wojny faszystowska propaganda także używała identycznego argumentu wobec swoich przeciwników, którzy „pozostawali na usługach wrogów narodu niemieckiego”.

Prof. Rován zauważył również skłusznie, że wydarzenia na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Polsce nie były wyłącznie wynikiem chęci uwolnienia się spod sowieckiej hegemonii, ale w dużym stopniu wynikiem fascynacji własną historią i rosnącej narodowej świadomości. Dokonał również logicznego i szerokiego uzasadnienia tej tezy.

Ważnym głosem była wypowiedź prof. Aleksandra Korabę (Bohdana Osadczyka) z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, który zarzucił uczestnikom tego typu dyskusji, że Europa Środkowa kończy się dla nich na wschodniej granicy Polski. Przypomniał o dużej sile ciężenia zaanektowanych przez Związek Sowiecki wschodnich republik do Europy Środkowej. Stwierdził, że rozwiązanie problemów Europy Środkowej musi polegać nie tylko na rozwiązaniu problemu niemieckiego, ale w głównej mierze problemu wewnątrzsowieckiego.

W drugim dniu uczestnicy sympozjum pracowali w czterech grupach tematycznych: „Obawy o przyszłość kultury”, „Powiązania handlowe”, „Powiązania historyczne” i „Obserwacje geograficzne”. Całość sympozjum zakończyła dyskusja.

Krzysztof Korewicz

SZWAJCARIA

W biuletynie nr 2 Związku Wolnych Polaków w Szwajcarii *Zólte Karki* z grudnia 1986 roku podano, iż działające w Zurychu Towarzystwo „Dom Polski” zbankrutowało, zaś prowadzony przez ten lokal poreastarycyjny, w którym organizowano od roku 1976 zebrania i imprezy (często o proreżymowym charakterze) zamknął swoje podwoje. *Zólte Karki* informują, że „Dom” ten często nazywano w Zurychu „orbisowską speluną” lub „czerwoną oberżą”. ek

ŚMIERĆ ZA POGLĄDY

21. 01. br. odbył się w Hamburgu wieczór poświęcony ukraińskiemu poecie Wasylowi Stusowi zorganizowany przez Towarzystwo Wspierania Międzynarodowej Solidarności (Gemeinnütziger Verein zur Förderung Internationaler Solidarität e.V.).

Analizy twórczości literackiej poety dokonała dr Elisabeth Wolffheim, wiersze czytał aktor Peter Weiss, a przewodnicząca Towarzystwa Hella Jürgens zapoznala uczestników wieczoru z jego biografią.

Wasył Stus, poeta, tłumacz, m. in. Rilkego, Bölla, Brechta, członek ukraińskiej grupy helisińskiej, 13 lat ze swe-go 47-letniego życia spędził w więzieniach i łagrach sowieckich. Po raz pierwszy trafił do więzienia w styczniu 1972 r. Podczas przesłuchania znaleziono u niego esej poświęcony innemu uzdolnionemu poecie ukraińskiemu Pawło Tyczyni, który w okresie stalinowskim stał się wieszczem ludowym. Los Tyczyny nazwał Stus symbolem tragedii kultury ukraińskiej lat 20-tych. Stusowi skonfiskowano nie tylko ten esej, lecz zrabowano mu także całą jego 15-letnią twórczość naukowo-literacką. Rzeczywistym bowiem powodem uwięzienia jest ciągłe dążenie władzy sowieckiej do zniszczenia jakichkolwiek śladów kultury ukraińskiej.

W latach 60-tych Stus należał do grupy poetyckiej „1960”, która powstała w okresie odwilży po śmierci Stalina. Grupa ta położyła duże zasługi w podniesieniu na wyższy poziom kultury i sztuki ukraińskiej, zepchniętej represyjną polityką Stalina, nastawioną na absolutne zrusyfikowanie nierosyjskich ludów, do nic nie znaczącego „folkloru” prowincjonalnego zaścianka. Pierwsze aresztowania wśród członków tej grupy miały miejsce już w 1965 r. Stus był wówczas między tymi, którzy odwrotnie zaprotestowali przeciwko represjom. Otrzymał wtedy zakaz publikowania oraz stracił miejsce pracy w Instytucie Literatury Ukraińskiej.

W pierwszym, zamkniętym procesie skazano go na 5 lat łagru o zaostrożnym reżymie i 3 lata zesłania. W morderczym łagrze tworzył nadal wiersze i dokonywał przekładów Rilkego i Goethego na ukraiński. Jego prace były systematycznie przez KGB konfiskowane. Dopiero na zesłaniu w Kołymie mógł je zrekonstruować.

Juz w łagrze miał poważne problemy ze zdrowiem. W 1976 r. usunęto mu 2/3 żołądka. Pomimo tego w 1977 r. znalazł się w Kołymie, gdzie musiał ciężko pracować.

W 1979 r. powrócił do Kijowa, gdzie pracował fizycznie w odlewni żelaza, wszelkie bowiem próby znalezienia lżejszej pracy kończyły się niepowodzeniem. Wkrótce zresztą, bo już w maju 1980 r., został ponownie uwięziony. Odbyło się postępowanie sądowe. Jego fikcję udowodniła swą odważną wypowiedzią Swietłana Kirczenko-Badzo, która na groźby za odmowę zeznań, odpowiedziała, że może zeznać, ale przed takim sądem, w którym Stus będzie oskarżycielem. Obecnie dzieli ona zesłanie ze swym prawie ociemniałym, ciężko chorym mężem.

W łagrze o zaostrożnym rygorze w Kuczino koło Permu, dokąd trafił Stus na kolejne 10 lat, panują katastrofalne warunki. Opieka lekarska jest tylko symboliczna, jedynie co dwa, trzy miesiące pojawia się dentysta, by usunąć skazano-ny zęby. Brakuje lekarstw. Przewinięcia – w rozumieniu tamtejszej administracji – karane są skierowaniem do karceru. Jest to lodowata cęła, w której więzień przebywa prawie nago. Dni dzielą się na głodowe i niegłodowe, w których otrzymuje się bądź wodę i czarny chleb, bądź połowę normalnej racji więziennej.

W 1984 r. w obozie tym zmarli obrońcy praw człowieka: Oleg Stichy, Walerij Marczenko, Jurij Litwin, w rok później Wasył Stus.

Władza sowiecka nie zwolniła go nawet po śmierci. Został pochowany na łagrowym cmentarzu, a miejsce jego

spoczynku oznaczono tylko numerem więziennym. Starania żony i siostry, by sprowadzić jego ciało i pochować w ukochanej ziemi ukraińskiej – według jego woli – nie powiodły się. Zabroniono im nawet odwiedzenia grobu męża i brata.

Na zakończenie wieczoru poświęconego Stusowi 30 spośród jego uczestników podpisało list skierowany do Gorbaczowa, zawierający żądanie zwolnienia członka ukraińskiej grupy poetyckiej, obrońcę praw człowieka, poetę i muzyka Mykola Horbala, również uwięzionego w Kuczino.

Nina Rasz

Listy do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

w zlokalizowanym na naszym terenie kiosku pojawił się polski magazyn informacyjny „Przegląd Tygodnia” redagowany we Frankfurcie przez niejakiego Wiesława Biczę.

Mam wprawdzie w rękę tylko numer 10 (27) tej gazety, ale uważam, że i to już za dużo. Redakcja odznęguje się od jakichkolwiek powiązań organizacyjnych, czy innych i jednocześnie oferuje bezpłatne ogłoszenia o imprezach zaznaczając, że „nie dotyczy to wszelkich imprez o wydźwięku politycznym”. Ta „apolityczność” znana mi jest już z sławnej pamięci „Mazurka”, który o administracji PRL pisał „nasze władze”. I rzeczywiście. Jakis pan Bogdan Klasiński ogłasza w „Przeglądzie Tygodnia”, że za odpowiednią opłatą gwarantuje podstemplowanie zaproszenia przez ambasadę PRL w ciągu 4 dni. Ambasady PRL traktuje jako przedstawicielstwa administracji rosyjskiego obozu koncentracyjnego, w którym oczekują na narodowe wyniszczenie moi Krewni, Koledzy, Rodacy. Z autopsji wiem, że wysłane za potwierdzeniem opłaty potrafią w ambasadzie zginać, i że potrafią ginać też zaproszenia, nie mówiąc o przeciąganiu terminów, konieczności montowania przez pocztę i jadowitych listach dołączanych do potwierdzonych zaproszeń. Trzeba więc co najmniej udziałów w tych „ambasadach”, żeby 4-dniowy termin z pozycji pośrednika zagwarantować. I temu zapewne służy podwojona stawka. Jeśli ktoś mi w tym miejscu powie, że redakcja „Przeglądu Tygodnia” w tym „handlowym” ogłoszeniu polityki nie dostrzegła, to służę następnym przykładem. Oto werbunek ogłasza pan Władysław Patrzalek i Stowarzyszenie Polaków w RFN „Lechia” informując, że członkowie tego stowarzyszenia podczas wyjazdów do Polski korzystają z PRL-owskich zniżek przy wymianie dewiz.

Zglądam do słownika terminologii rosyjsko-radzieckiej. „Apolityczna” to taka postawa i działalność, która celem i potrzebom Moskwy służy. A polityczna? „Polityczna” to taka, która im nie odpowiada. Na przykład prelekcja o nieustającej ekspansji rosyjskiej od 300, czy więcej lat. O takiej ogłoszenia „Przegląd Tygodnia” nie zamieści i z góry o tym zaznacza.

Łączę ukłony

Andrzej Kolatorski

Zürich/Szwajcaria

IMPRESSUM

Verleger – Wydawnictwo
Gesellschaft Solidarnost e.V
Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak
Adres redakcji:
Postfach 62 02 24
D-1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;
AUSTRIA – „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;
DANIA – Roman Śmigiełski, Wora-saasvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;
FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;
KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski, 4760 Cole des Neiges, Montreal P.Q. H3V 1G3, Tel. 514/7355974;
NORWEGIA – Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 32b, 1068 Oslo; RFN – Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Andrzej Baranowski, Bonner Str. 35, 5300 Bonn 2; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschaft 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Andrzej Janiszewski, Südstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Janowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Lech Jarmuła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Marek Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Waldemar Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36; Jacek Wyrwiak, Brüsselerstr. 11, 5300 Bonn 1, Tel. 0228/678379;
SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08/7421457; USA – Piotr Calka, 4855 W 118th, Alsip 60658 Ill., Tel. 312/5972096; Mirosław Marecki, P.O. Box 605a, Holand, MI 49432, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/8711686; Andrzej Wiśniewski, P.O. Box 1785, Benthany, OK 73008;
WIELKA Brytania – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456;

„Pogład” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarnost e.V. – zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogład” – „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowania, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki

Australia	4 dol. austr.
Austria	30 ÖS
Belgia	85 bfr
Kanada	4 dol. kanadyjski
Dania	15 dkf
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	3,5 dol. ameryk.
Wielka Brytania	1,5 funta

PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna	DM 30,-
półroczna	DM 55,-
roczna	DM 100,-
Kraje pozaeuropejskie:	
półroczna	DM 58,-
roczna	DM 110,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 80,-
roczna	DM 150,-
Australia:	
półroczna	DM 100,-
roczna	DM 200,-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za piśmenną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamierzonych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarnost” e.V.
„Pogład”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
lub
Postschekkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postschekamt
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy i dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4,-

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Poglad, Postfach 620224,
1000 Berlin 62



*Prenumerata „Pogladu”
najmilszym upominkiem*